CZWARTEK Nr 49 24 IV 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Zbliża się II Krajowy Zjazd Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej

KOLEŻEŃSKA POMOC – NAJCENNIEJSZA

Każdego roku w naszym kraju zmienia pracę około 1 miliona ludzi. 800 tysięcy spośród nich to młodzi pracownicy, którzy nie przekroczyli jeszcze 30 roku życia. Co jest powodem tak często podejmowanej decyzji o opuszczeniu zakładu pracy? Okazuje się, że – wbrew powszechnej opinii – nie zawsze decyduje o tym wielkość pensji. Młodzi ludzie odchodzą, bo rozczarowani są niewielkim zainteresowaniem ich pracą, nie zatrudnianiem ich zgodnie z wyuczonym zawodem, albo na stanowiskach, które nie wymagają takich kwalifikacji, jakie posiadają. Jednym z ważniejszych powodów są złe warunki pracy, niewłaściwa jej organizacja, niedobra atmosfera wśród załogi, brak pomocy zakładu w uzyskaniu mieszkania, pożyczki na jego zagospodarowanie.

Przyczyny częstych zmian pracy przez młodzież są wnikliwie analizowane przez organizacje ZSMP. Wiele z nich przygotowało własne programy pomocy dla młodszych kolegów po raz pierwszy przekraczających bramę zakładu. Często chodzi o rzeczy najprostsze, o informacje, gdzie można załatwić podstawowe formalności, o pomoc w znalezieniu zakwaterowania, życzliwą radę w trudnym okresie praktycznej nauki zawodu na stanowisku pracy. Okazuje się, że takie zainteresowanie jest bardzo cenione przez młodych, rozpoczynających pracę zawodową. I tam, gdzie ogniwa ZSMP podchodzą odpowiedzialnie do swoich obowiązków w tej dziedzinie młodzi pracownicy znacznie rzadziej decydują się na składanie wymówienia z pracy. (kp)

- *Tego jeszcze nie było*
- *Minimonografia igrzysk na naszych łamach*
- *Nie przegapcie okazji!*

W BLASKU OLIMPIJSKIEGO ZNICZA

Oto nazwa nowego konkursu „Świata Młodych". Przeznaczamy go głównie dla miłośników sportu. Już wkrótce rozpoczniemy drukowanie odcinków o tematyce olimpijskiej. W nich znajdą się barwne fotokopie oficjalnych plakatów wszystkich dotychczasowych igrzysk, historia każdych zawodów oraz ich główni bohaterowie. Każdy odcinek poświęcony będzie oddzielnym igrzyskom i oznakowany zostanie specjalnym kuponem. Uczestnicy konkursu, którzy w odpowiednim terminie nadeślą do redakcji komplet kuponów wezmą udział w losowaniu nagród rzeczowych: namiotu, śpiworów, plecaków, piłek oraz albumów „Hobby". Szczegóły już w następnym numerze „Świata Młodych". Nie przegapcie okazji! Dodajmy jeszcze, że dzięki zebraniu wszystkich odcinków „W BLASKU OLIMPIJSKIEGO ZNICZA" będzie można otrzymać minimonografię dotychczasowych igrzysk. Warto posiadać taką w swoich zbiorach. Szczególnie w przededniu otwarcia olimpiady Moskwa'80.

REDAKCJA

A jednak w przyczepie najlepiej...

– str. 4

Fot. M. Szymański

KOLEJNĄ PLAKIETKĘ WYLOSOWAŁA KLASA III B!

Gratuluję dziewczętom z klasy III B Liceum Ekonomicznego w Staszowie. Na Wasz list, pt. Dochód z aukcji własnoręcznie wykonanych prac powiększy fundusz budowy „Daru Młodzieży", zamieszczony w 36 numerze „ŚM", padł szczęśliwy los i już za za kilka dni wyślę Wam pamiątkową plakietkę ceramiczną.

Jednocześnie chcę przypomnieć, że za inicjatywy indywidualne, dotyczące wpłat na konto budowy „Daru Młodzieży", otrzymać można znaczki Klubu Przyjaciół m/s „Leonid Teliga". Oczywiście spełnić trzeba dwa warunki: wpłacona kwota musi być osobiście zarobiona i list, w którym opiszecie sposób zdobycia pieniędzy, musi poświadczyć osoba dorosła.

Szef Klubu Przyjaciół
ms „Leonid Teliga".

ODPOWIADAMY NA APEL: gotówkę już wpłaciliśmy

IX Drużyna Harcerska im. Janka Krasickiego w Turce melduje, że wysłała 154 zł na akcję „Budujemy Dar Młodzieży". Pieniądze uzyskaliśmy ze zbiórki surowców wtórnych.

Rada drużyny:
Jadwiga Opajdowska, Ewa Lao, Beata Szkutnik, Marta Trochonowicz, Andrzej Nieznaj; drużynowa L. Grochal

Wpłatę potwierdził dyrektor szkoły (podpis nieczytelny).

TRADYCJA POŁĄCZONA Z... WIKLINĄ

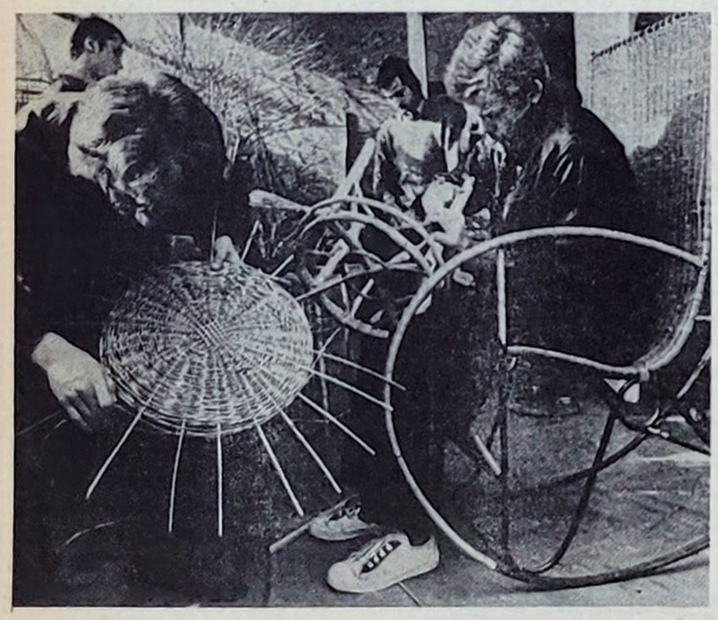

CAF. Liceum Sztuk Plastycznych im. J. Chełmońskiego w Nałęczowie należy do najstarszych szkół tego typu w Polsce. Zostało bowiem założone w drugiej połowie XIX wieku. Początkowo była szkołą rzemiosł artystycznych dla dzieci i młodzieży. Jako szkoła państwowa – Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie działa już 31 lat. Przez ten okres jej mury opuściło z tytułem technika-plastyka ponad 760 absolwentów. Aktualnie kształci się tutaj 320 uczniów. Obok przedmiotów ogólnokształcących uczą się rysunku, malarstwa i rzeźby. Kształcenie zawodowe odbywa się w dwu kierunkach, a mianowicie: form użytkowych i mebli artystycznych. W ramach tego pierwszego, projektuje się i wykonuje m.in. zabawki, które ze względu na swoją oryginalność nazywa się nałęczowskimi. W przypadku mebli bardzo ciekawe efekty przyniosło połączenie mebli tradycyjnych z wikliną, co dało także podstawę do stworzenia określenia „mebli nałęczowskich". (kż)

Fot. CAF

POLONIA WŚRÓD FIORDÓW

NORWEGIA (Interpress). W Oslo i w pobliskim okręgu mieszka ponad 200 osób, a w całej Norwegii łącznie około 1 tys. Norwegów polskiego pochodzenia. Wielu spośród nich skupia Towarzystwo Kulturalne „Polonia", działające tu już ponad 10 lat. Organizuje ono nie tylko wieczorki taneczne i towarzyskie, ale także projekcje polskich filmów, a w święta – imprezy dla dzieci. Stara się podtrzymać język, narodowe tradycje i kulturę. Jego przedstawiciele jeżdżą w odwiedziny do Starego Kraju, i to nie tylko ci starsi, ale także młodzież ciekawa ziemi swych przodków.

Towarzystwo przeprowadziło kilkakrotnie zbiórki na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie czy też budowę Centrum Zdrowia Dziecka. Organizacja opiekuje się także grobami poległych rodaków, np. mogiłą 24 lotników polskich pod Oslo jak też innymi miejscami, w których znajdują się prochy polskich żołnierzy. (dr)

W Galerii Fotografiki Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego eksponowana jest do końca kwietnia br. wystawa „Polski Wrzesień 1939". Zorganizowana z okazji Miesiąca Pamięci Narodowej 1980, poświęcona tematyce II wojny, zgromadziła ogromną ilość zdjęć, z których wiele dotychczas było nieznanych.

Fotoreportaż z wystawy prezentujemy na stronie 5. ▶

Fot. M. Szymański

O tym warto wiedzieć

PROJEKT BUDOWY DRUGIEGO KANAŁU PANAMSKIEGO

Od kilku tygodni prasa światowa pisze o projekcie budowy drugiego Kanału Panamskiego. Według opinii autorów projektu, będzie to największa budowa inżynieryjna XX wieku. Sama budowa kanału ma kosztować 8,3 mld dolarów, a jeśli włączy się koszty wszystkich dodatkowych urządzeń – 20 miliardów! Czas trwania budowy przewidziany jest na 8–10 lat i ma być poprzedzony 5-letnimi badaniami przygotowawczymi.

Jednym z najaktywniejszych propagatorów drugiego Kanału Panamskiego jest obecnie japoński przemysłowiec, Shideo Nagano, prezes Izby Handlu i Przemysłu. Nic też dziwnego, że przed kilku tygodniami prezydent Panamy, Aristides Royo, złożył w Japonii kilkudniową wizytę. Jego rozmowy z przedstawicielami kół rządowych i gospodarczych dotyczyły właśnie ewentualnej współpracy Japonii przy tym wielkim przedsięwzięciu. Według informacji prasowych, przez nowy kanał mogłyby przepływać statki o wyporności 500 tys. ton, czyli wielkie tankowce i lotniskowce. Przez obecnie istniejący Kanał Panamski przepływają statki o wyporności zaledwie 50 tys. ton. Nowy kanał zapewniłby Japonii bliższy dostęp do ropy naftowej w Wenezueli i Zatoce Meksykańskiej a także do bogactw naturalnych Brazylii (ruda żelaza). Kanał umożliwiłby też Amerykanom transport ropy naftowej z Alaski na wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

Według wstępnego rozpoznania, trasa przyszłego kanału ma przebiegać około 20 km na zachód od obecnego Kanału i przecinać ma stały ląd od miejscowości Puerto Caimito nad wybrzeżem Pacyfiku do miejscowości Lagarto nad Morzem Antylskim. Całkowita długość projektowanego kanału – 98 km, szerokość – 200 metrów i głębokość – 30 metrów. W przeciwieństwie do obecnego kanału, nie miałby on śluz i łączyłby bezpośrednio dwa największe oceany świata. To zaleta projektu. Statki przepływałyby kanał w kilka godzin, zamiast w ciągu dwóch dni, jak obecnie. Natomiast wadą projektu – przynajmniej tak się wydaje obecnie – jest to, że w ten sposób zbudowany kanał może zagrażać środowisku naturalnemu. Ze względu na różnicę poziomów obydwu oceanów (wyższy poziom ma Ocean Spokojny), wody Pacyfiku wlewając się do Morza Antylskiego i Karaibskiego mogą zmienić obecną równowagę biologiczną. Sprawa – czy będą śluzy czy nie – nie jest ostatecznie przesądzona.

Budowa drugiego kanału wymaga zgody Stanów Zjednoczonych. Wynika to z układu, jaki niedawno podpisała Panama z USA. Wydaje się jednak, że Amerykanie nie będą mieli nic przeciwko temu. Nowa, wygodniejsza przeprawa z Pacyfiku na Ocean Atlantycki potrzebna jest tak samo Japonii, jak i Stanom Zjednoczonym.

W sierpniu przyszłego roku Panama planuje zorganizowanie międzynarodowej konferencji ekspertów dla rozpatrzenia projektu. Wówczas będziemy znali więcej danych „za" i „przeciw" tej wielkiej inwestycji. Warto dodać, że koncepcją drugiego kanału interesują się również Francja, RFN i Korea Południowa. W przyszłości takich państw będzie z pewnością więcej. (b)

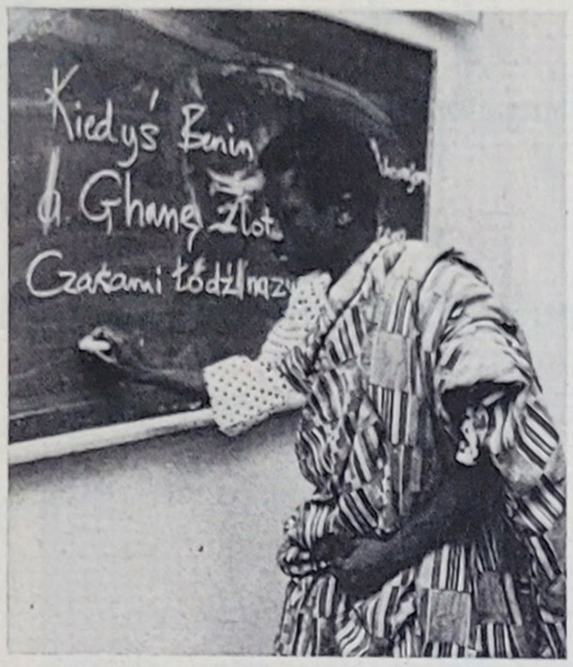

Po polsku – w Europie

W CZASIE SUSZY, W SZCZEBRZESZYNIE...

– Jaki jest najtrudniejszy język świata? – pytanie to zadano uczestnikowi jednego z quizów tak często i chętnie nadawanych w brytyjskiej telewizji.

– Chiński – odpowiedział bez zastanowienia.

– Przykro mi, ale pomylił się pan – sprostował prowadzący. – Według ekspertów, którzy przygotowali dla nas pytanie, a są to wybitni językoznawcy, najtrudniejszym językiem świata jest język polski. Decyduje o tym niezwykle skomplikowana gramatyka.

Historyjkę tę, ponoć autentyczną, przytaczam na odpowiedzialność moich angielskich rozmówców, którzy z zainteresowaniem oglądali mnie jako osobę na co dzień posługującą się językiem trudniejszym od chińskiego, a nieomal zamarli w niemym podziwie, gdy okazało się, że towarzyszący mi rodowity Anglik całkiem dobrze radził sobie z mową tak pełną syczących spółgłosek.

Nie jest aż tak bardzo istotne, czy polszczyzna zajmuje pierwsze, czy może trzecie miejsce na liście najtrudniejszych języków. Faktem jest, że pod tym względem z pewnością należy do czołówki. Dostarcza to nam niewątpliwie miłej rozrywki, gdy przerażonego obcokrajowca zachęcamy do powtórzenia czegoś brzmiącego dla niego tak nieprawdopodobnie jak „w Szczebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie" lub „w czasie suszy Sasza szedł suchą szosą". Ale żarty na bok. Mocno zakorzenione – szczególnie na zachodzie Europy – przekonanie, że polski to taki język, którego zwykły śmiertelnik nie jest w stanie opanować ma dla nas jako państwa i społeczeństwa niezbyt korzystne konsekwencje. Dlaczego? Zanim o tym porozmawiamy, garść informacji.

Na naszym kontynencie żyje około 600 milionów ludzi. Posługują się oni na co dzień ponad 60 językami. Pozornie dużo, ale okazuje się, że 75 proc. mieszkańców Europy używa tylko ośmiu języków. Są to: w kolejności według zakresu rozpowszechnienia: rosyjski, niemiecki, angielski, francuski, włoski, ukraiński, hiszpański, i – co może budzić zadowolenie – polski. Zrozumiałe, że w ramach tego podziału, z biegiem lat, dokonują się pewne przesunięcia. Wiadomo np., że coraz większą popularność zdobywa niemiecki i angielski. Kurczy się pozycja języka francuskiego, a powoli wzrasta w Europie Zachodniej znajomość rosyjskiego.

Polszczyzna należy więc do grupy tzw. dużych języków europejskich. Ale tylko na takim jej sklasyfikowaniu kończy się nasza satysfakcja. Jest to – mimo że używa go 35 milionów Polaków mieszkających w ojczyźnie i grubo ponad milion rodaków rozsianych po wszystkich zakątkach Europy – język mało rozpowszechniony, rzadko nauczany. I cóż z tego? – można by zapytać – tak było zawsze, nigdy polski nie był popularny, zawsze wlekliśmy się pod tym względem gdzieś na szarym końcu na naszym kontynencie. Czy nie jest więc przesadą robić z tego problem, nagle starać się, aby w innych krajach zaczęto uczyć się mówić i pisać po polsku. A zresztą – można kontynuować ten tok rozumowania – znacznie więcej dla popularyzacji Polski za granicą, dla znajomości jej kultury robią nasze filmy, nagradzany i powdziwiany jest na świecie polski teatr, eksperymenty sceniczne Grotowskiego i Kantora. Ceni się też naszych plastyków, nie mówiąc już o kompozytorach tworzących tzw. polską szkołę muzyki współczesnej, o pianistach, skrzypkach, śpiewakach scen operowych. Znane są na świecie prace naszych uczonych, sporo mówi się o polskim sporcie. Wreszcie, by użyć argumentów najmocniejszych, staliśmy się jako kraj poważnym i docenianym partnerem handlowym, mamy sporo osiągnięć przemysłowych. Bardzo wysoko ocenia się na całym świecie polskie inicjatywy polityczne służące pokojowi, współpracy i bezpieczeństwu międzynarodowemu. Skoro jesteśmy widoczni w tak wielu dziedzinach, czy konieczne jest staranie o coraz większą znajomość za granicą języka polskiego?

Sądzę, że tak. Bo skoro znana jest muzyka, teatr, film, plastyka, architektura, skoro liczymy się w handlu i jesteśmy coraz ważniejszym partnerem politycznym, to dlaczego nasz język ma pozostać Kopciuszkiem. Dlaczego ma być tylko quizowym przykładem „najtrudniejszego języka świata". A jeśli niewielu jest na wszystkich kontynentach ludzi, którzy potrafią naszą mowę przełożyć na swój język ojczysty, to tym samym ograniczone są możliwości przedstawienia innym społeczeństwom dzieł naszej literatury, dorobku nauk ścisłych i humanistycznych. Nieznajomość polskiego utrudnia pełny kontakt z naszą kulturą, sposobem myślenia, tradycjami, odrębnością. Jeśli nas nie znają, albo znają tylko powierzchownie, zmniejsza to nasze szanse na pełny, twórczy udział w tworzeniu czegoś, co zwykliśmy określać jako kulturę europejską. Ograniczają się możliwości uzupełnienia jej o własne, oryginalne osiągnięcia i przemyślenia.

Jest jeszcze jeden argument przemawiający za polszczyzną. Chodzi o miejsce naszego kraju w Europie, jego położenia w newralgicznym punkcie kontynentu i wynikającą stąd rolę polityczną, kulturalną i gospodarczą. Polski jest językiem narodu, który żyje w centrum Europy i odgrywa rolę odpowiadającą temu położeniu.

Często zapominamy o tym na co dzień. Tak jak zapominamy, że nasz język jest jednym z ważnych języków europejskich, mniej znanym, ale wcale przecież nie gorszym od angielskiego, francuskiego, niemieckiego. Ważne jest przełamanie tkwiącej w nas samych pewnej bariery psychologicznej, która często każe traktować nam naszą mowę jako trochę „gorszą" od innych języków. Pozbycie się tego kompleksu niższości nie powinno jednak przeszkadzać nam w jak najlepszym opanowywaniu języków obcych.

A możliwości ich nauki mamy w naszym kraju sporo. W szkołach wprowadzono obowiązkowe nauczanie rosyjskiego i jednego z języków zachodnich. Spośród 450 tysięcy uczniów tych szkół 40 proc. uczy się niemieckiego, niemal tyle samo angielskiego, a co piąty uczeń poznaje tajniki języka francuskiego. Zmieniane są programy na coraz nowocześniejsze, dające gwarancję dobrych wyników, do laboratoriów języków obcych wprowadza się coraz częściej specjalną aparaturę dydaktyczną. W niektórych liceach – jest ich ponad sto – wprowadzono rozszerzone programy nauki języków. Po angielsku, francusku, niemiecku, rosyjsku prowadzi się lekcje z biologii, chemii, fizyki, matematyki. Na naszych wyższych uczelniach pracuje kilkadziesiąt katedr filologii obcych kształcących nauczycieli, tłumaczy. System oświaty obowiązkowej uzupełnia działalność spółdzielni w rodzaju „Lingwisty", kursy językowe w radio, telewizji, klubach międzynarodowej książki i prasy, w zakładach pracy. Kto rzeczywiście pragnie poznać obcy język, zawsze znajdzie warunki nauki odpowiednie do potrzeb i zasobności kieszeni.

Współdziałanie państw we wzajemnym stwarzaniu warunków nauczania języków obcych jest ważnym fragmentem współpracy międzynarodowej. Dyskutowano na ten temat na konferencji bezpieczeństwa i współpracy europejskiej w Helsinkach i Belgradzie. Z pewnością będzie on także jednym z ważniejszych punktów porządku obrad zbliżającej się konferencji w Madrycie. Polska, tak jak inne kraje o językach mało rozpowszechnionych, rzadko nauczanych, domaga się wzajemności. Co to znaczy? W zamian za pomoc i poparcie dla nauczania w naszym kraju angielskiego, francuskiego, niemieckiego itp. pragniemy uzyskać pomoc i poparcie dla propagowania języka polskiego za granicą. A więc chodzi o kształcenie odpowiedniej liczby tłumaczy, otwieranie katedr polonistyki, wprowadzania polskiego do programów szkół. Przynosi to pewne rezultaty, najbardziej widoczne w krajach socjalistycznych, w Związku Radzieckim. Podobnie we Francji, która pod tym względem jest wyjątkiem wśród krajów zachodnich. Na mocy porozumień rządowych otwarto tam kilka szkół ogólnokształcących z polskim językiem wykładowym, stał się on także jednym z oficjalnych języków obowiązujących na egzaminach maturalnych.

To oczywiście cieszy. Być może dzięki współpracy międzynarodowej, dzięki aktywnym staraniom polskich instytucji kulturalnych, placówek dyplomatycznych, polszczyzna stanie się językiem choć trochę znanym w Europie.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. **CAF i archiwum**

[1] W artykule tym wykorzystano informacje i dane statystyczne zawarte w publikacji dr Jerzego M. Nowaka „Nauczanie języków obcych jako przedmiot współpracy międzynarodowej", zamieszczonym w miesięczniku „Sprawy międzynarodowe" w zeszycie trzecim z marca 1979 roku.

Zabieganie o uśmiech losu

Kiedy przyprowadzono Ewę na basen po raz pierwszy, miała zaledwie siedem lat i w torbie maleńkiego pluszowego niedźwiadka. Dziś przyznała, że bardzo bała się wody, bo i pływała – jak większość jej rówieśniczek – jak przysłowiowa siekiera. Ale trenerskie oko nie byłoby trenerskim, gdyby od razu nie wypatrzyło w niej co trzeba. Przede wszystkim stopy, od maleńkości miała długie niczym płetwy. Za zgodą rodziców dała się namówić na częstsze pobyty na basenie, które początkowo traktowała jako zwykłe pluskanie. Los okazał się łaskawy – zawsze jest łaskawy, kiedy zabiega się o jego uśmiech – po roku nieźle radziła sobie kraulem, jeszcze lepiej stylem klasycznym. Po dwóch była już najlepsza w szkole. Wyczyn to był nie lada, bowiem szkoła należy do sportowych. Skończył się też pierwszy etap pływackiego wtajemniczenia, rozpoczął drugi, który trudno już nazwać pluskaniem.

Teraz ma trzynaście lat, wygląda jednak na znacznie więcej. Atletyczne, zupełnie nieproporcjonalnie do reszty ciała rozbudowane ramiona, upodobniają ją trochę do mistrza ciężarowego pomostu. Również oczy są poważne, jakby wiecznie zamyślone, jakby smutniejsze od szklanych oczu brązowego niedźwiadka, którego stawia zwykle pod startowym słupkiem. Dziewczyny z podwórka, choć niezwykle rzadko się z nimi widuje, zazdroszczą Ewie popularności. Wiedzą, że chwalą ją na szkolnych apelach, dostrzegają od czasu do czasu w gazetach jej nazwisko.

Dzień Ewy jak dzień z piosenki; wczoraj jest podobne do dziś, dziś do jutra i zaczyna się terkotaniem budzika. Długim, ostrym, nieprzyjemnym, kiedy za oknem jeszcze atramentowo. Już o szóstej trzydzieści musi zameldować się na pływalni. Pluszowa maskotka patrzy wówczas w zielonkawą od chloru wodę i wydaje się, że liczy nawroty swojej pani. Każdy nawrót wykonywany jest w innym tempie, czasami w innym stylu. Szpakowaty pan skrupulatnie mierzy czasy, a jego komendy wzmacnia odbite od oszklonych ścian echo. Kwadrans przed ósmą koniec treningu. Pięć minut wystarcza na drugie śniadanie, następne pięć na przejście do szkoły. Wszystko wyliczone z dokładnością szwajcarskiej Omegi, według scenariusza, którego nikt nie napisał. Nie zawsze zdąży odrobić lekcje przed szesnastą, przed terminem rozpoczęcia popołudniowego treningu. Wtedy jeszcze raz, gdy zza ściany dobiega sygnał wieczornego dziennika telewizyjnego, otwiera zeszyty. Czas dla siebie ma tylko w niedziele wolne od startów.

Niedźwiadek nie potrafi rachować. Bo gdyby znał się chociaż trochę na matematyce, dodawałby przepływane przez Ewę kilometry. A tak nudzi się strasznie. Ona też ich nie oblicza. Ale trener rachuje jak komputer i na dokładkę wszystko zapisuje w swoim przygrubawym notatniku. W marcu było tych kilometrów prawie sto, w kwietniu, ze względu na święta, torchę mniej. Za to w maju wypadnie dziennie, odejmując niedziele, niemal po pięć. Ichtiolodzy twierdzą, że nawet szczupak nie pływa tak intensywnie...

Ewa i jej pluszowy przyjaciel już wiedzą ile kosztuje rekord. Chociaż prawdę powiedziawszy, jej najlepsze wyniki są jeszcze odległe od zaplanowanych przez trenera rezultatów. Oboje zresztą myślą o „przeprowadzce" do szkoły mistrzostwa sportowego.

Smuci się tym mały niedźwiadek, bowiem czeka go jeszcze dłuższa nasiadówka przy wyłożonym kafelkami słupku. I zastanawia się czy osiągnięcie sportowego sukcesu warte jest tylu wyrzeczeń. Ale nie marudzi. Wie, że do mistrzostwa droga wiedzie nawet przez ułamki sekund urwane opornej wodzie. I jest dumny ze swej pani, która tak uporczywie zabiega o uśmiech losu i ma tylko jedną zabawkę – właśnie jego.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Surowiec wykradziony Amazonii

Zdobywca Meksyku, Ferdynand Cortez, oglądał na dworze Montezumy II mecz tlachtli, rozgrywany w specjalnym budynku. Między dwoma prostokątnymi polami wznosił się mur z wąskim przejściem. Wisiała w nim na lianie płyta kamienna z okrągłą dziurą, nieco tylko większą od gumowej piłki, którą trzeba było przerzucać przez ten otwór z jednego pola na drugie, i to bez użycia rąk. Gracze, przystrojeni odświętnie piórami, dokonywali cudów zręczności. Zwycięzca miał prawo zabrać widzom tyle płaszczy, ile tylko zdołał pochwycić. Nic dziwnego, że publiczność uciekała po skończonym meczu co sił w nogach...

Aztekowie, Mayowie, Indianie środkowoamerykańscy potrafili wyrabiać z soku niektórych drzew nie tylko elastyczne piłki, lecz także nieprzemakalne buty i płachty przeciwdeszczowe. Najodpowiedniejszy był sok – lateks – z drzewa „heve", nazywany przez Indian brazylijskich „ka-czu" – łzy drzewa, znany dzisiaj jako kauczuk.

Nowym surowcem interesowali się nie tylko przyrodnicy. W 1803 r. powstała pod Paryżem wytwórnia tkanin balonowych powlekanych kauczukiem, a glasgowski fabrykant barwników MacIntosh rozwinął produkcję płaszczy przeciwdeszczowych. Jeszcze dzisiaj takie płaszcze nazywa się w Anglii „makintoszami"!

Nie były doskonałe wytwory MacIntosha!

Warstwa kauczukowa umieszczona między warstwami tkaniny rozpływała się w cieple i kruszyła na zimnie. Zdarzyło się, że modny elegant nie mógł po wizycie założyć płaszcza, bo wskutek działania ciepła z pobliskiego kominka, z deszczoochronnego nakrycia robił się bezkształtny, zlepiony tobołek.

Dopiero chemia przyniosła triumf egzotycznemu surowcowi, przyczyniła się do narodzin przemysłu gumowego. Bo kauczuk i guma to dwie zupełnie różne substancje!

Stało się to w 1839 r., kiedy Karol Goodyear odkrył, że dodatek siarki do kauczuku i następnie ogrzanie mieszaniny daje produkt mocny, elastyczny, nie zmieniający się wiele na słońcu ani deszczu, po prostu gumę.

Odkrycie Goodyera było ukoronowaniem wieloletniej pracy, nawet kilkakrotnego przebywania w więzieniu dla niewypłacalnych dłużników. Swój wynalazek wulkanizacji opatentował wreszcie w 1844 r., jednak majątku nie zrobił i zmarł w długach. Wielkie przedsiębiorstwo Goodyear Tire and Rubber Company powstało dopiero prawie czterdzieści lat po śmierci wynalazcy.

Rosnący popyt na kauczuk spowodował zwrócenie uwagi rządu brazylijskiego na ten surowiec. Dotychczas nawet statki transatlantyckie, budował nasz rodak, Bronisław Rymkiewicz. Pałace lśniły złotem i marmurami, opera w Para gościła najwybitniejszych artystów. Nic dziwnego, cena kilograma kauczuku wynosiła wówczas pół kilograma złota!

I nagle nastąpiła katastrofa

Kauczuk staniał nadzwyczajnie, wyludniły się miasta Amazonii, do ruin wróciła dżungla. Przyczyną tego zjawiska było pewne zdarzenie z 1876 r. W Brazylii, nad dopływem Amazonki – Rio Tapajoz, w wiosce Itaituba zamieszkanej przez Indian Mundurucu, mieszkał angielski plantator herva mate, Henry Wickham. On to otrzymał od rządu angielskiego polecenie dostarczenia nasion kauczukodajnej *Hevea brasiliensis* – drzewa kauczukowego. Pedro II, cesarz brazylijski, nie zgodził się na wywóz nasion, nauczony smutnym doświadczeniem z przeszłości, kiedy to z brazylijskich sadzonek wyrósł konkurent handlowy w Azji południowo-wschodniej, oferujący korę chinową, cynamon i inne produkty roślinne, stanowiące przedtem główną pozycję eksportu brazylijskiego.

A jednak Henry Wickham oszukał celników i pod koniec kwietnia 1876 przemycił do Londynu 70 000 nasion kauczukowca. Wyrosło z nich w ogrodzie botanicznym 2800 roślinek, z których niektóre po kilku miesiącach przeżyły burzliwą podróż na Cejlon. W 1882 część z nich przewieziono jeszcze dalej, do Singapuru i na Półwysep Malajski. A Henry Wickham został lordem i osiadł w Londynie...

Nikt jednak nie kwapił się do podjęcia niepewnej hodowli nieznanych drzew; o wiele rozsądniejsze wydawało się kontynuowanie plantacji herbaty, cynamonu, indyga.

Dopiero w 1894 r. Chińczyk malajski Tan Czaj-Jan...

...postanowił założyć plantację hevea na kilku hektarach podmokłego gruntu i już po pięciu latach przystąpił do nacinania drzew i zbioru lateksu. W 1899 r. rzucił na rynek pierwsze cztery tony kauczuku. Była to kropla w stosunku do 50 000 ton kauczuku brazylijskiego z dziko rosnących drzew, ale na tych czterech tonach Tan Czaj-Jan zarobił więcej, niż gdyby przez pięć lat uprawiał herbatę, cynamon i pieprz.

Sukces pociągnął naśladowców. Sześć lat później było już 50 000 ha plantacji azjatyckich! Rok 1913 był ostatnim rokiem przewagi kauczuku brazylijskiego – 61 000 ton, wobec 47 500 ton z azjatyckich plantacji. W 1920 r. plantacje te dostarczały już 90% ogółu kauczuków.

Zapotrzebowanie na kauczuki rosło stale. Wojna, rozwój motoryzacji, lotnictwa i innych dziedzin wymagały coraz większych ilości gumy. Rozwinęły się badania. Udowodniono, jak ważne są niekauczukowe składniki mieszanek gumowych. Zbadano i wypróbowano liczne przyspieszacze i środki wulkanizacyjne, środki przeciwstarzeniowe, plastyfikatory, napełniacze i inne składniki. Odkryto, że sadza nie tylko barwi, lecz także wzmacnia gumę, rozwinięto więc produkcję wielu gatunków sadz. Rozkwitła wiedza o doborze składników mieszanek i nauczono się otrzymywać gumy o żądanych własnościach: twardości, elastyczności itd. Rozwinął się przemysł maszynowy, oferujący nowe maszyny i urządzenia do produkcji opon, węży, uszczelek, artykułów technicznych, pasków klinowych i wielu, wielu innych wyrobów gumowych.

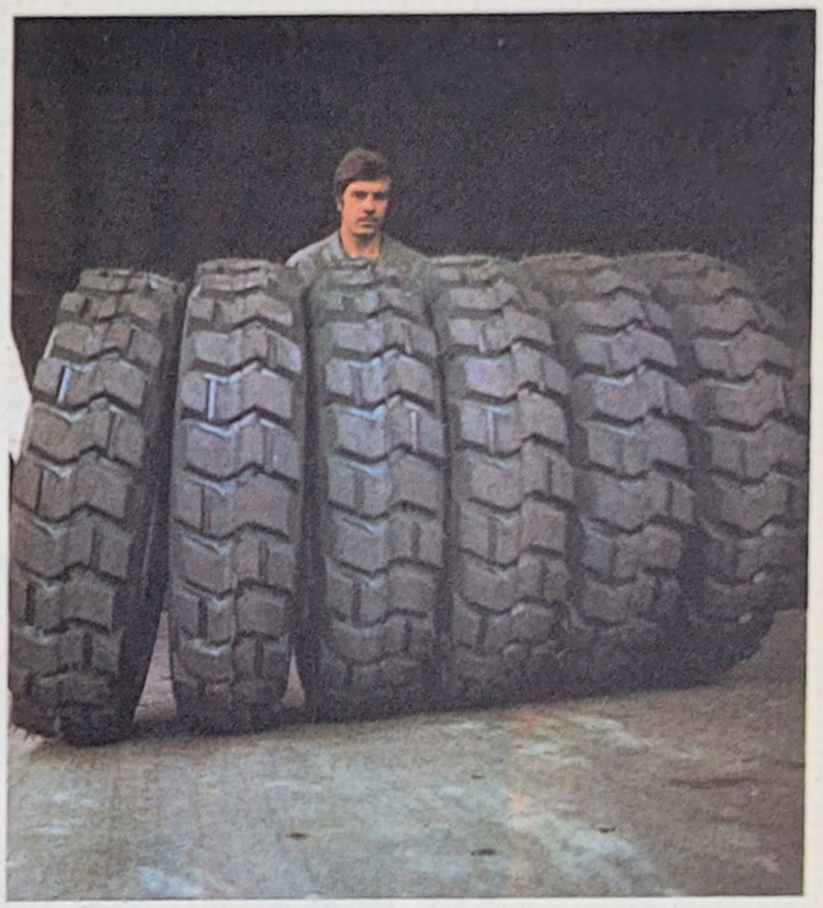

A to już gotowy produkt – opony samochodowe z Wytwórni w Olsztynie

Fot. J. Łopuszyński

Olbrzymiemu wzrostowi zapotrzebowania na kauczuk nie mogły sprostać nawet największe plantacje. A kiedy jeszcze warunki obu wojen światowych zmusiły wojujące strony do ograniczeń zużycia trudno dostępnego surowca, do dzieła zabrali się chemicy i wynaleźli konkurencyjne kauczuki syntetyczne. Różne ich rodzaje nadają się do określonych celów: do pracy na równiku i na biegunach, w głębi oceanów i w przestrzeni kosmicznej.

Kauczuk naturalny nie poddaje się jednak. W jego produkcji przoduje dziś Malezja (45%), Indonezja (24%), potem idą: Tajlandia, Cejlon, Indie...

I pomyśleć, że minęło dopiero osiemdziesiąt lat od pierwszego plonu kauczukowego z plantacji wyrosłych z nasionek wykradzionych w dżungli nad Amazonką!

KRZYSZTOF GUTORSKI

Pozyskiwanie kauczuku naturalnego z drzew *Hevea brasiliensis* Fot. archiwum

AZYMUT WĘGIEL

Z wizytą w szkole górniczej

SZKOLNY OSRODEK MECHANIZACJI

Tradycje Zasadniczej Szkoły Górniczej KWK „Katowice" sięgają roku 1945, kiedy to zorganizowano Przemysłową Szkołę Górniczą. Aktualną siedzibą szkoły jest budynek wzniesiony w 1952 roku. Szkoła dysponuje gabinetami i salami przedmiotowymi wyposażonymi w nowoczesne pomoce naukowe, bibliotekę z bogatym księgozbiorem i czytelnią. Zajęcia z wychowania fizycznego odbywają się w sali gimnastycznej i na boisku sportowym szkoły, a zimą na sztucznym lodowisku „TORKAT".

Zajęcia praktyczne dla wszystkich klas odbywają się dwa razy w tygodniu. Uczniowie klas pierwszych zdobywają przygotowanie zawodowe w warsztatach szkolnych z zakresu obróbki mechanicznej, ręcznej, cieplnej, spawalnictwa itp., a uczniowie klas drugich w zależności od kierunku kształcenia – w sztolni ćwiczebnej oraz warsztatach kopalni. Trzecioklasiści zapoznają się z przyszłymi warunkami pracy w warsztatach remontowych, w warsztatach szkolnych pod ziemią oraz w polu szkoleniowym w kopalni.

Dumą katowickiej szkoły górniczej jest działający od 1976 roku Szkolny Ośrodek Mechanizacji oraz wybudowane systemem gospodarczym nowe warsztaty szkolne. W Ośrodku Mechanizacji, z którego korzysta pięć szkół górniczych Katowickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, załoga kopalni i uczniowie szkół podstawowych z terenu Katowic, można doskonale zaznajomić się z budową i obsługą nowoczesnych maszyn i urządzeń stosowanych w kopalniach węgla kamiennego.

Długość tzw. wyrobisk w Szkolnym Ośrodku Mechanizacji wynosi 440 m, w tym aż sześćdziesiąt metrów stanowią ściany ćwiczebne. Znajduje się tam dziewięć komór do ćwiczeń, dyspozytornia, warsztat mechaniczny i elektryczny oraz sala instruktażowa z projektorem filmowym i innymi pomocami naukowymi. Podczas zajęć praktycznych uczniowie korzystają m.in. z dwóch kombajnów, przenośników, zespołu wręboładującego, elektrowozu, obudów zmechanizowanych i indywidualnych, telewizji przemysłowej, urządzeń głośno mówiących, kolejek linowych i szynowych itp. Podczas zajęć w ośrodku uczniowie wykonują także wiele prac użytecznych dla kopalni „Katowice", jak np. regeneracja urządzeń górniczych, dzięki czemu kopalnia oszczędza rocznie 1,2 mln złotych.

W ciągu 26 lat istnienia Zasadniczej Szkoły Górniczej KWK „Katowice" szkołę opuściło 2600 absolwentów, spośród których ponad tysiąc pracuje w macierzystej kopalni. Są to górnicy technicznej eksploatacji złóż, elektromonterzy górnictwa podziemnego, mechanicy maszyn i urządzeń przeróbczych oraz mechanicy maszyn i urządzeń górnictwa podziemnego.

Do dyspozycji uczniów zamiejscowych oddano dobrze wyposażony internat szkolny, w którym obok orkiestry dętej działają także: zespół muzyczno-rozrywkowy, taneczny, plastyczny, recytatorski, filmowy i sportowo-rekreacyjny. Podczas zajęć pozalekcyjnych organizowane są interesujące wycieczki, dyskoteki, spotkania z ciekawymi ludźmi, wieczorki poezji, prelekcje połączone z filmami, wyjścia do kina i teatru. Zainteresowani uprawianiem sportu mają możliwość uczestniczenia w zajęciach SKS-u i innych klubów sportowych. Dzięki pomocy uczniów wybudowano m. in. stadion z bieżnią, skocznią, boiskami do gier zespołowych i kortem tenisowym oraz nartostradę w Szczyrku.

Zasadnicza Szkoła Górnicza KWK „Katowice" troszczy się ciągle o polepszenie warunków nauki i wypoczynku uczniów, czego dowodem jest m. in. zatrudnienie pedagoga, który w szkole i internacie służy młodzieży radą i pomocą, projekt rozbudowy szkoły, stała fachowa opieka lekarska i in. Natomiast kopalnia zapewnia uczniom pomoc materialną w gotówce, pełne umundurowanie w I i II klasie, ekwiwalent pieniężny za 2 tony węgla rocznie dla uczniów nie korzystających z zakwaterowania w internacie, 50 proc. pomocy materialnej w okresie ferii i nieodpłatne wyposażenie w podręczniki i przybory szkolne.

Aby zostać uczniem Zasadniczej Szkoły Górniczej KWK „Katowice" (40-203 Katowice, ul. Ks. Ścigały 9) należy złożyć do dyrekcji szkoły podanie o przyjęcie, podpisane przez kandydata oraz jego rodziców lub opiekunów, życiorys, dokument urodzenia, a także ostatnie świadectwo szkolne. Uczniem może zostać tylko ten, kto nie przekroczył 18 roku życia oraz posiada zaświadczenie lekarza górniczej służby zdrowia stwierdzające przydatność do zawodu. Skierowania do lekarza wydaje szkoła.

Bliższe informacje o warunkach nauki i pracy uzyskać można w dyrekcji szkoły lub dyrekcji kopalni.

K-236

Fot. **Z. Bisanz**

A jednak w przyczepie najlepiej ...

O sprzęcie pływającym powiada się czasem: łajba. O sprzęcie z Niewiadowa sami producenci w mniej oficjalnych rozmowach mówią: „skorupa". Ale nie ma w tym określeniu nawet grama złośliwości. „Skorupa" składa się niejednokrotnie z trzech warstw włókna szklanego przesyconego żywicą syntetyczną i nie jest obojętne, która warstwa przy laboratoryjnym rozciąganiu pęknie pierwsza. Czasem winno stać się to w kolejności: pierwsza, trzecia, druga. Czasem w innej. Tak czy inaczej, aby uzyskać znany z dróg polskich (i nie tylko) efekt końcowy trzeba się solidnie napracować. W zapachu rozpuszczalników nie zawsze tolerowanych przez organizm dłużej, niż kilka godzin dziennie. Pod strumieniami wody specjalnego tunelu próbnego. Przyczepa campingowa to nie jest coś na jeden sezon. Przyczepa ma służyć ludziom przez dobrych parę lat – niezawodnie. Dlatego „skorupa" brzmi jak komplement.

Szczegół?

Dojazd do Niewiadowa nie jest najlepiej oznakowany. Odszukuję drogę obserwując szyldy okolicznych zakładów rzemieślniczych. „Haki holownicze do przyczep montuję...", „Dodatkowe hamulce", „Ocieplanie wnętrz przyczep..." i tak dalej. Parę kilometrów malowniczej drogi, plastikowe składane garaże z wypisaną na nich nazwą miejscowości, siatka – i już rzędy białych zgrabnych przyczep oczekujących na transport. Jedyne tego typu miejsce w Polsce i jedyne wśród krajów socjalistycznych: Zakłady Sprzętu Domowego i Turystycznego Predom-Prespol.

Zwiedziliśmy taśmę produkcji przyczep zgodnie z kolejnością wykonywanych przy nich czynności. Jedna z nich utkwiła mi w pamięci szczególnie: przyklejanie wewnętrznej wykładziny izolacyjnej. Tego nie zrobi żaden automat, robią więc dwie kobiety uzbrojone w pędzle i specjalny, szybkoschnący klej. Warstwa tkaniny przełożonej matą z gąbki musi być położona z dokładnością co do milimetra, tak żeby zgodziły się ze sobą otwory okienne skorupy i płata izolacyjnego. W nieprzyjemnym, ostrym zapachu kleju cała operacja trwa kilka minut. Przyglądam się potem gotowemu już wnętrzu. Ja i czterech pomocników, w dwa dni tak równo byśmy tego chyba nie zrobili...

Czy dla „malucha"?

Produkowane w Niewiadowie trzy zasadnicze typy przyczep noszą kolejne oznaczenia N 126, N 127 i N 132. Teoretycznie odpowiada to modelowi Fiata, który jest w stanie pełnić rolę „holownika": przyczepę N 126 ciągnąć może popularny „maluch", czyli Fiat 126p i tak dalej. Praktycznie jednak dwa pierwsze typy przyczep za pomocą fiatowskich odpowiedników mogą być holowane raczej na krótkich dystansach i w terenie nizinnym. Powodem jest nawet nie tyle waga, co opór powietrza stawiany przez holowany przedmiot. Dalej silniki niewielkich samochodów nie są w stanie zapewnić zestawowi odpowiednich przyspieszeń. Osobną sprawą jest brak w przyczepach sprzedawanych na rynku krajowym tak zwanego hamulca najazdowego. I znów – stosunkowo słabe hamulce „malucha", obciążone dodatkową masą holowanego pojazdu mieszkalnego nie są najlepszą gwarancją zatrzymania zespołu w sytuacji awaryjnej. Na razie nie ma w kraju producenta podobnych urządzeń, import za dolary zaspokaja jedynie niewielki procent potrzeb.

Niewiadów to także młynki, miksery, roboty kuchenne. I tutaj tworzywa sztuczne są jednym z najważniejszych elementów

Czekają już tylko na transport... Te przyczepy trafią na drogi Europy Zachodniej. Czeka się tam na nie w kolejce przez parę tygodni

Każda przyczepa jest tu robiona jakby na miarę: nikt nie wykonuje tylko jednej, mechanicznej czynności

Dyrekcja twierdzi, że to się zmieni, że termin zmiany będzie najkrótszy z możliwych. Szczegóły? Woleliby niczego nie obiecywać, niczego nie ujawniać. To ma być pod każdym względem bomba, nie można jej rozbrajać niedyskrecją.

Taśma

Niewiadowska taśma to nie powoli pełznący, gumowy transporter, gdzie pracownik wykonuje zawsze jedną i tą samą operację. Każda przyczepa jest tu robiona jakby na miarę, wyposażana w kolejne elementy przez zespół ludzi wykonujących różne, wcale nie jednostajne i mechaniczne czynności. Jeden ze stolarzy wyjaśnia mi na czym polega system składania miejsc sypialnych – powoli, nie spiesząc się i nie denerwując. Kiedy sposób składania tapczanika mam już w małym palcu okazuje się, że kolega rozmówcy zainstalował właśnie obudowę zlewozmywaka. Kolej na gazową kuchenkę, potem drewniane szafy i szafki. Jeszcze mocowanie i uszczelnianie szyb, uchylanej pokrywy dachu i przyczepa podjeżdża na stanowisko próby wodnej. W specjalnym tunelu poddaje się ją przez kilkanaście minut istnemu potopowi: do gotowego już wnętrza nie ma prawa przedostać się ani jedna kropla wody. W przeciwnym wypadku – powrót na stanowisko uszczelniania. Czasami najtrudniejsze jest właśnie znalezienie rysy, szczeliny w uszczelce, którędy wcisnęła się odrobina wilgoci. Pół milimetra pęknięcia – tylko gdzie ono jest?

Sukces

Historia Niewiadowa zaczęła się wcale nie od przyczep campingowych. I wcale nie w ostatnich latach – na terenie obecnego zakładu istniała jeszcze przed wojną fabryczka nawozów sztucznych. Potem rozbrajano tu niewypały i wszelkie „produkcyjne braki" wypuszczane przez przemysł zbrojeniowy III Rzeszy. Do połowy lat 60-tych zakład w najróżniejszy sposób związany był z resortem chemii, sprawami mechanicznymi interesując się o tyle, o ile trzeba było naprawić na przykład bramę wjazdową. W chwili podjęcia produkcji przyczep wszystkie części metalowe sprowadzano od kooperantów. Podwozia, haki holownicze, zamki, drzwi, zawiasy – na dobrą sprawę w Niewiadowie powstawała tylko skorupa z mas plastycznych. I właśnie ta skorupa, wzbogacona oczywiście o niezbędne detale, stała się przedmiotem marzeń i poszukiwań pokaźnej liczby rodaków. Rosło na przyczepy zapotrzebowanie – malał jednocześnie zapał wytwórców współpracujących. Zaczęło brakować zamków – Niewiadów chcąc nie chcąc wziął się za ich produkcję. To samo z podwoziami. Potem z innymi zespołami układu jezdnego. Dział głównego mechanika, ogniś składający się z jednego szefa, jednej tokarki i trzech pracowników przekształcił się w odrębny, ważny wydział produkcyjny. Z własnymi problemami – nie tylko zresztą wewnętrznej natury. Jeszcze potem przyszedł okres współpracy z wyspecjalizowanymi w podobnej produkcji czołowymi firmami zagranicznymi. I solidny eksport.

Specjalizacją Niewiadowa są przyczepy campingowe. Ale zgodnie z nazwą zakładu powstaje tu także sprzęt domowy: młynki, miksery, roboty kuchenne. Prawdę powiedziawszy łatwiej opisać przeznaczenie przyczep, aniżeli niektórych wyrobów do kuchni. Odwrotnie niż w wypadku sprzętu turystycznego (oj, ta mechanizacja!), sprzęt domowy wiąże się z kłopotami dotyczącymi części z tworzyw sztucznych. Automatyczne wytryskarki, na których produkuje się korpusy i pokrywy mikserów należą do urządzeń nader kapryśnych. Tolerują jeden gatunek tworzywa i żadna zamiana nie wchodzi w rachubę. Tymczasem z podobnymi surowcami, produkowanymi z ropy naftowej, nie tylko u nas, jest coraz ciężej. Jak sobie dyrekcja Niewiadowa radzi – pozostanie jej tajemnicą. W każdym razie dostawy rynkowe nie zmniejszyły się, ba, nawet postarano się o zmianę kolorystyki wyrobów.

* * *

Nazwa Zakładów Predom-Prespol kojarzy się z pojęciem sukcesu. Ale tak zwykle bywa, że na sukces fabryki pracuje się długo i na wielu frontach – bezpośrednio osiąga go jednak jeden wyrób. W tym wypadku była to przyczepa. Nawet nie dlatego, że unikalna w skali wielu krajów. Po prostu dobra, solidnie wykonana, trwała. W kolejce stoją klienci krajowi, ale też i Austriacy, Włosi, Niemcy, Holendrzy. Jeżeli jest więc to sukces, to również wymierny dla kraju w dewizach. Nie ma co ukrywać – i o to także chodzi.

MAREK ZARĘBSKI
Fot. **Marek Szymański**

Filmy rodem z „SE-MA-FORA" podbiły serca młodej widowni w wielu krajach świata

Przeważająca część produkcji łódzkiego „Se-Ma-Fora" to filmy dla dzieci. W ubiegłym roku w łódzkiej wytwórni zrealizowano przeszło 50 nowych filmów. O dalsze odcinki powiększyły się seriale o misiu Uszatku czy kocie Filemonie. Planuje się także nową serię, której tytuł będzie brzmiał „Eliasz i Pistulka". W przygotowaniu jest również ekranizacja znanej książki Marii Kownackiej pt. „Plastusiowy pamiętnik" oraz cykl filmów telewizyjnych mających przybliżyć dzieciom otaczający świat z jego zwierzętami i roślinami. Ubiegłoroczną produkcję zamknięto tutaj pełnometrażową opowieścią lalkową pt. „Colargol i cudowna walizka", który powstał dla uczczenia Międzynarodowego Roku Dziecka.

Łódzka wytwórnia zdobyła sobie nie tylko polską widownię. Wiele filmów tu powstających bawi i uczy najmłodszych widzów w różnych krajach świata. Przyczynił się do tego z pewnością w dużej mierze serial „Opowiadania Muminków" oparty o znany cykl powieściowy Tove Janssona. Scenariusz do niego napisała Maria Kossakowska, a reżyserem jest Lucjan Dembiński. Powstaje on w kooprodukcji z australijską firmą „JUPITER". Z początku odcinków miało być 39, niedawno jednak podpisano umowę na dalszych 39, które mają być zrealizowane do 1982 roku. „Muminki" zakupiła już nasza telewizja. Cieszą się one także ogromnym powodzeniem w całej Skandynawii i innych krajach Europy. Rozsławiło to imię polskiej wytwórni poza granicami naszego kraju. Dalszej popularyzacji osiągnięć łódzkiego „Se-Ma-Fora" służy z pewnością zaprezentowana w fińskim mieście Tampere, w tamtejszym Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wystawa prezentująca lalki, projekty, fotogramy mówiące o ponad 30-letniej działalności wytwórni. Ze zrozumiałych względów jedną, osobną salę poświęcono zobrazowaniu, w jaki sposób powstają w „Se-Ma-Forze" filmy o Muminkach realizowane na podstawie tekstów i rysunków Tove Janssona właśnie z Finlandii.

Fot. **CAF – Zbraniecki**

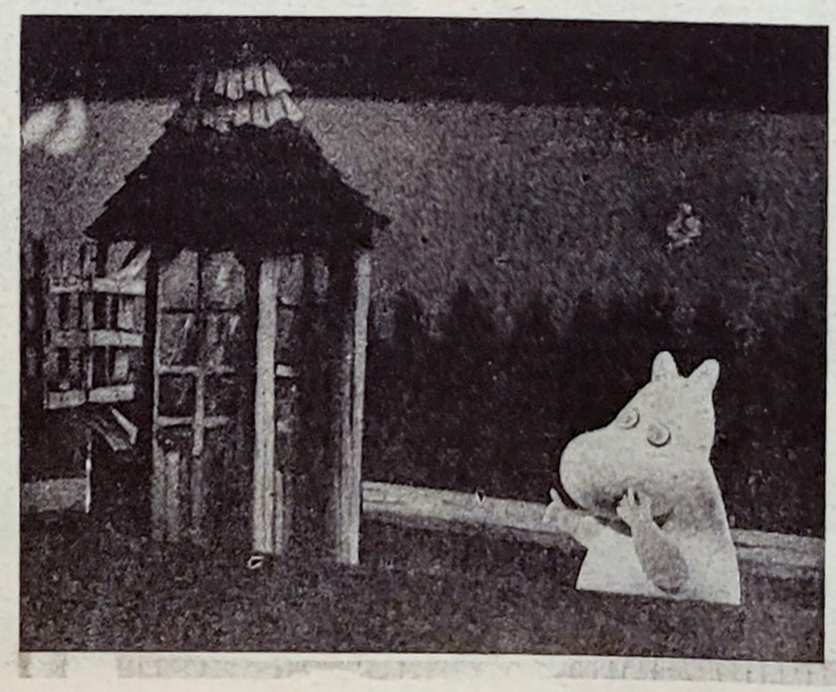

Kadr jednego z odcinków serii „Mumiątków" ▶

REDAKCYJNA POCZTA

Nie przepadam za Waszym pismem

Piszę do Was w sprawie Waszej gazety. Przyznam Wam się, że bardzo rzadko kupuję „Świat Młodych". Najbardziej mnie zniechęcają do jego kupna artykuły pt. „Pięć minut z Anką". Na pewno spytacie, dlaczego? Anka pisze w nich o sobie jakby była wielką bohaterką broniącą swego honoru przed koleżankami. W swoich artykułach przedstawia siebie jako pocieszną, nie czyniącą błędów w życiu, przykładną dziewczynkę. Ja uważam, że te artykuły głównie psują Wasze pismo. Natomiast za mało pisze się o sprawach młodzieży, chodzi mi tu o jej kłopoty, zmartwienia w szkole i w domu. Gdy kupuję „Świat Młodych", to tylko patrzę na ostatnią stronę, która zawiera zagadki i rebusy.

Mówię krótko – nie przepadam za Waszym pismem, jest ono nie dla nastolatków (o czym informuje nas karta tytułowa), lecz dla dzieci w wieku klas pierwszych i drugich. Pewno macie do mnie zastrzeżenia, że do Was tak piszę, ale to nie tylko moje słowa. Pytałam o zdanie grono moich koleżanek i orzekły to samo. Proszę, wydrukujcie mój list, niech inni czytelnicy wypowiedzą się na ten temat.

Wasza „rzadka" czytelniczka

Co z tą przyjaźnią?!

Dwa lata temu przyszła do naszej klasy nowa koleżanka – Agnieszka. Była dziewczynką skromną, grzeczną, kulturalną, przyjaźnie ustosunkowaną do wszystkich. Wydawało mi się, że jest godna każdej przyjaźni. Przychodziła do mnie codziennie. Zawsze chodziłyśmy wszędzie razem. Zainteresowania również miałyśmy podobne. Ją pociągała biologia, tak samo i mnie. Jednym słowem wszędzie we dwójkę. Było wprost cudownie. Agnieszka, zawsze roześmiana, uśmiechnięta, była moją przyjaciółką na dobre i złe. Wydawało mi się, że nic nas nie rozłączy. Jednak pomyliłam się i to nawet bardzo. Odeszła ode mnie. Nawet bez krótkiego wyjaśnienia. Tak przecież nie robi prawdziwa przyjaciółka. Darzyłam ją prawdziwą przyjaźnią. Wierzyłam jej i ufałam. Wiem, że ona również czyta „ŚM". Może gdy przeczyta ten list, zmieni swoje dotychczasowe postępowanie. Mam odrobinkę nadziei i łudzę się, że ona jednak wróci...

Ania

Jeszcze raz wagary

Rzuciło mnie dosłownie po przeczytaniu w „Redakcyjnej Poczcie" listu „Ewy" pt. „Od strony kowadła". Przypomnę, że chodzi o udział „lojalny" wszystkich uczniów w ucieczkach z lekcji. Według „Ewy", Ci z klasy, którzy nie chcą wagarować, są niekoleżeńscy. Chwileczkę – a dlaczegóż to leniwa większość ma decydować? Ja chodzę do szkoły, żeby się czegoś nauczyć. Czy tylko dlatego, że ktoś nie odrobił lekcji, mam go popierać? I wtedy jestem lojalna? Myślę, że dyskusja na temat lekceważenia sobie szkolnych obowiązków potrwa. Myślę, że nie jestem odosobniona ze swoim zdaniem. A „Ewie" radzę zabrać się za odrabianie lekcji, bo koniec roku się zbliża!

„Janka"

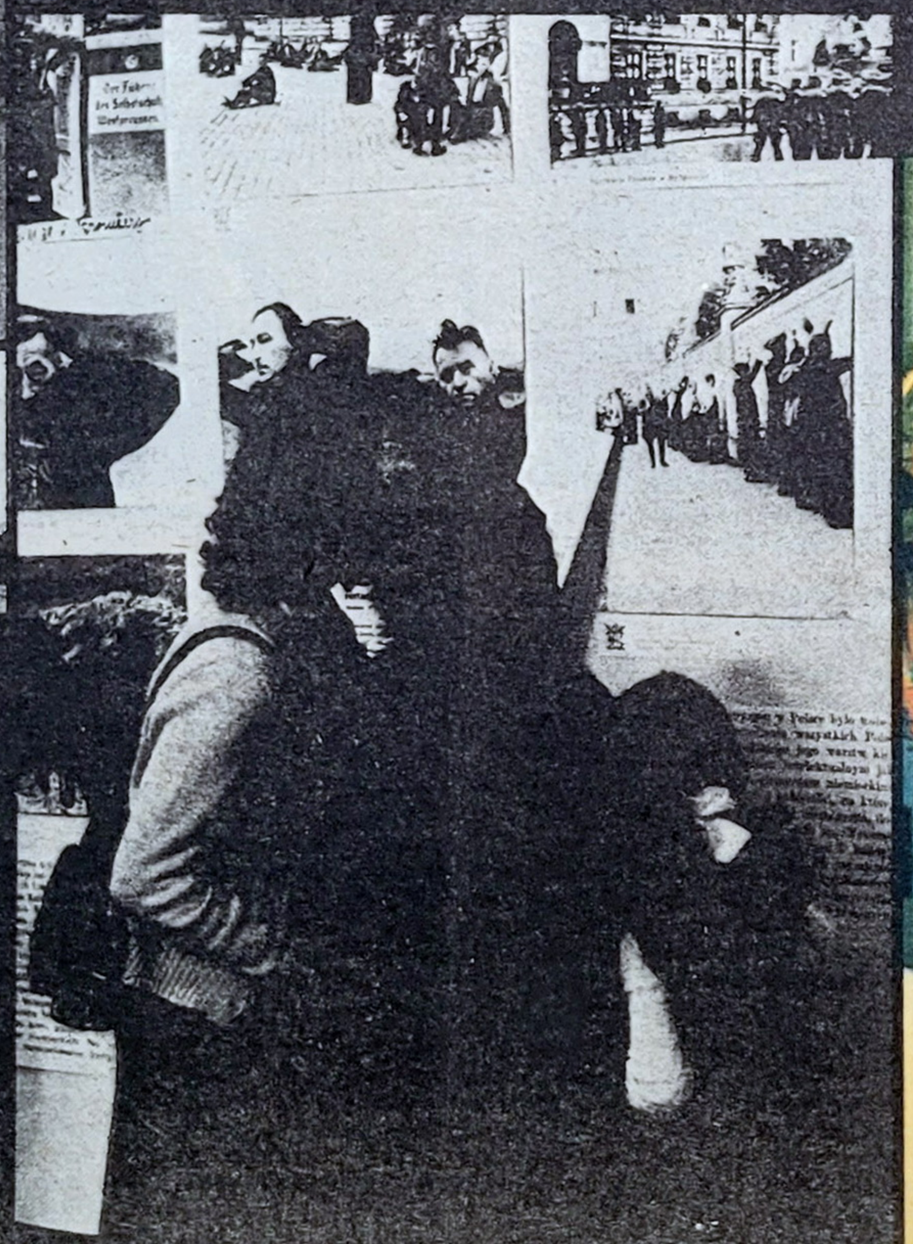

POLSKI WRZESIEŃ

Fotoreportaż
J. ŁOPUSZYŃSKIEGO
i M. SZYMAŃSKIEGO

1939 r.

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

BMW R-45

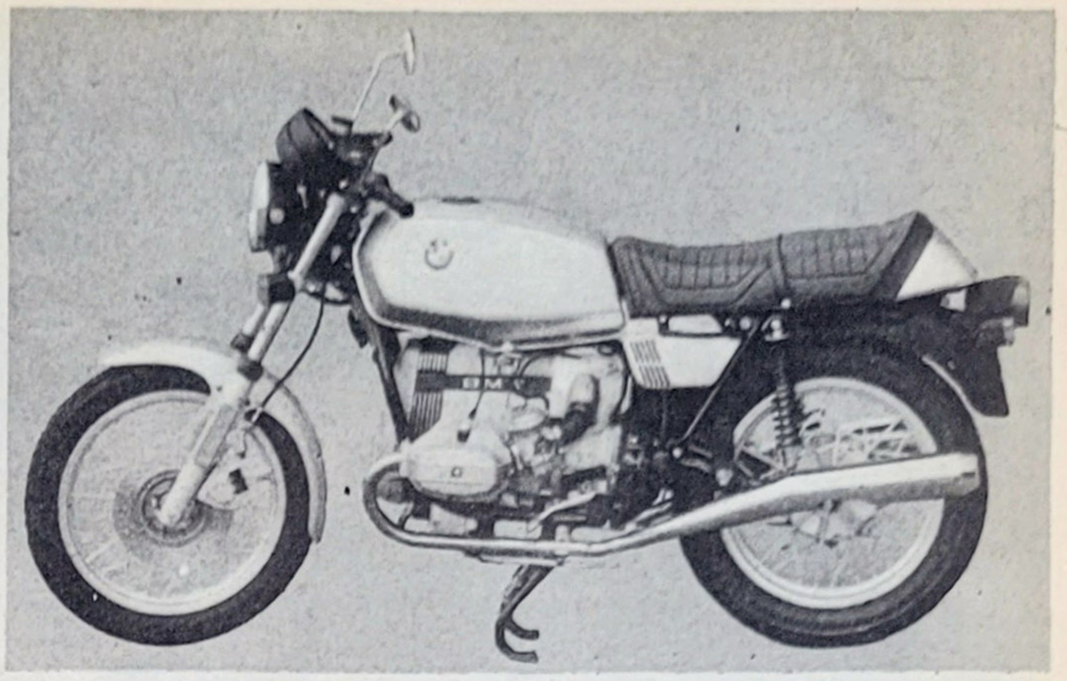

Jest motocyklem, który wizualnie stwarza pozory pojazdu dużego i ciężkiego. Pomimo takiego wyglądu zewnętrznego jego silnik posiada tylko 473,4 cm sześc. pojemności roboczej. Składa się on z dwóch cylindrów pracujących w systemie przeciwbieżnym. Taki system rozmieszczenia cylindrów zwany jest popularnie układem typu „boxer". Chłodzenie silnika odbywa się przez powietrze. Każdy z cylindrów zasilany jest w mieszankę paliwową przy pomocy oddzielnego gaźnika.

W zależności od stopnia sprężania i ilości uzyskiwanych obrotów silnik tego motocykla może posiadać moc 20 kW (27 KM) – osiąganą przy sprężaniu 8,2 i 6500 obr/min., oraz moc 26 kW (35 KM) – osiąganą przy sprężaniu 9,2 i 7200 obr/min.

Przenoszenie napędu od silnika odbywa się na tylne koła za pośrednictwem pięcioprzekładniowej skrzyni biegów i wału napędowego.

Koła BMW R-45 posiadają obręcze wykonane ze stopów metali lekkich i ogumienie o następujących wymiarach: z przodu 3,25–18, z tyłu 4,00–18.

Przód motocykla zawieszony jest na widelcu teleskopowym, tył na wahaczu zaopatrzonym w amortyzatory teleskopowe. W skład wyposażenia wchodzą kierunkowskazy, lusterka wsteczne umieszczone po obydwu stronach kierownicy, szybkościomierz i obrotomierz, oraz reflektor z halogenową żarówką.

Hamulec przy przednim kole jest tarczowy, przy tylnym kole bębnowy. Długość motocykla wynosi 2120 mm, szerokość 650 mm, wysokość 830 mm, ciężar 206 kg. Pojemność zbiornika paliwa 22 litry.

Ten BMW osiąga prędkość 140 km/godz. (z dwoma osobami 132 km/godz.), wyposażony zaś w silnik o mocy 26 kW – prędkość 144 km/godz., (z dwoma osobami – 135 km/godz.). Zużycie paliwa wynosi od 5,4 do 7,4 litra na 100 km. Nazwa wytwórni i jej adres: Bayerische Motoren Werke A.G., Petuelring 130.8000 Munchen 40 – RFN.

ZENON DUTKIEWICZ

KLUB PTAKOLUBÓW ŚWIATA MŁODYCH

Skrzydlaci ostatni Mohikanie (4)

Sokół wędrowny

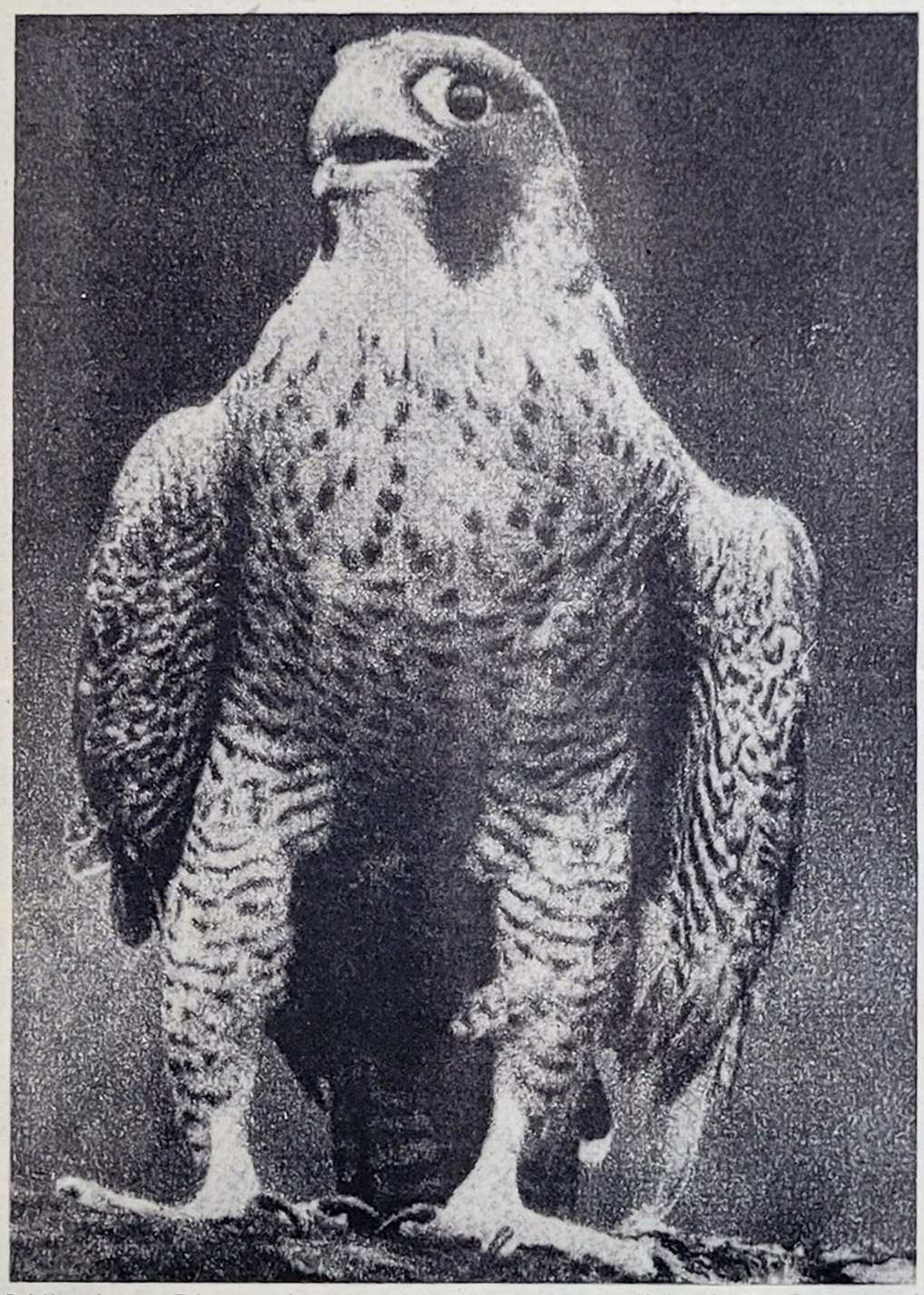

Sokół wędrowny, *Falco peregrinus*. Długość ciała 40–43 cm, rozpiętość skrzydeł 85–106 cm, waga ok. pół kilograma. Samica większa i cięższa od samca. Składa 3–4 jaja. Chroniony.

Współcześni ludzie, opisując przyrodę, coraz częściej uciekają się do porównań zaczerpniętych z techniki. Widać – nie ma innego wyjścia. Bocian – to w takich opisach żywy szybowiec, perkoz wożący pisklęta na grzbiecie – to żywa gondola itp. Jeżeli pozostaniemy tu przy takim widzeniu przyrody, to sokoła wędrownego*) wypadnie nazwać żywą strzałą, a może i pociskiem...

Kształty ma doskonale aerodynamiczne: to po prostu wspaniale ukształtowana przez naturę kropla żywej materii. Kropla zaopatrzona jednak w twarde, elastyczne skrzydła, poruszane przez silnie rozwinięte mięśnie. Sokół lata wyłącznie lotem aktywnym, nie szybuje, jak inne, większe drapieżniki, a co najwyżej sunie siłą rozpędu.

Wszystko jest w nim przystosowane do takiego latania – nawet rysunek upierzenia. Owe ciemne plamki na ciele nie służą ozdobie. Czarny barwnik wzmacnia bowiem pióra w odpowiednich miejscach *„podobnie, jak smoła wzmacnia tekturę (...). Układ barwnika przypomina konstrukcję żelazną nowoczesnej techniki i niewątpliwie podlega tym samym zasadom mechaniki. Sposób rozmieszczenia barwnika jest tak ścisły, że znawca może po samym rysunku poznać, który gatunek sokoła lata szybciej i jaki jest charakter jego lotu"* – pisze prof. Sokołowski.

Sokół zabija swe ofiary – a są nimi dobrze latające ptaki od wielkości skowronka do gęsi – niemal wyłącznie w powietrzu. Dopędza je ze znacznej odległości, mknąc czasem z szybkością 100 m/sek. Potem następuje tylko muśnięcie ofiary dziobem lub szponami. Rozpędzony drapieżca przeważnie nie jest w stanie złapać jej od razu – pędzi dalej, a gdy rażona gwałtownym uderzeniem zdobycz zacznie spadać, sokół robi woltę, zawraca i chwyta ją jeszcze nad ziemią.

Ten żywy pocisk jest – można rzec – sterowany przez doskonały radar, jaki tworzą: instynkt i przysłowiowy sokoli wzrok. *„Stwierdzono* – pisze Brehm – *że ptak ten przyleciał do wabika, zrobionego z dwóch związanych skrzydeł wronich, z odległości 1660 m"*. Sokół wędrowny namierza na zdobycz wspaniale i rzadko chybia, a jeżeli mu się to zdarzy – nie ponawia zwykle ataku; jest to dlań prawdopodobnie już zbyt trudne. Napada na ptaki nawet dużo większe od siebie. Poza tym – nie poluje przy gnieździe; jest to dziedzicznie utrwalone zabezpieczenie przed upolowaniem własnych piskląt, które, jak dowiodły obserwacje – są przez ptaki drapieżne tylko w gnieździe traktowane jako własne dzieci, a przeniesione gdzie indziej – jak normalny łup. A ponieważ sokół odpędza od swego potomstwa intruzów, takich jak sójki czy wrony – w pobliżu jego siedziby chętnie gniazdują drozdy, gołębie czy inni skrzydlaci. Robi to mimowolnie wrażenie, że sokół roztacza opiekę nad słabszymi. Te i poprzednio wymienione okoliczności skłaniały dawnych obserwatorów do bajania o jego rzekomej rycerskości i szlachetności – jest to typowy przykład naiwnego antropomorfizmu. Myślę natomiast, że można w przypadku tego ptaka mówić o szlachetności w innym znaczeniu – jak mówi się o szlachetności kruszca czy kamienia. Mamy tu do czynienia z najdoskonalszą formą ptasiego drapieżcy i zarazem ilustracją wspaniałego przystosowania organizmu do warunków, w jakich żyje.

Jakże więc można by się cieszyć, gdyby ten szlachetny sokół żył w mieście, wśród swojskich gołębi i kawek. A przecież zanosiło się na to! W pierwszej połowie naszego wieku sokoły wędrowne gnieździły się na wysokich budowlach wielu miast, łącznie z drapaczami chmur w Nowym Jorku. Nie jestem tu w stanie podać odpowiedniej liczby tego typu przykładów. Zachęcam czytelników, by zajrzeli do książki dra Macieja Luniaka „O ptakach Warszawy". Jest tam mowa o sokołach, które gnieździły się w ruinach stolicy, a później przez wiele lat były widywane na wieżach kościołów i najwyższych piętrach Pałacu Kultury i Nauki.

Bowiem sokół wędrowny zamieszkuje wszelkie obfitujące w ptactwo tereny – lesiste, nadwodne czy skaliste. To, co na powierzchni ziemi, nie ma dlań wielkiego znaczenia. Żyje – można rzec – nie w biotopie, ale nad biotopem. Toteż nie szkodzą mu w takim stopniu, jak poprzednio opisanym gatunkom, zmiany w krajobrazie. Populację sokoła zdziesiątkowały natomiast pestycydy i to jeszcze bardziej niż bielika.

Poniekąd ptak ten zapłacił rachunek za swą wszechstronność w wyborze miejsca gniazdowania i za tę „rycerskość", wyrażającą się w chwytaniu ptaków większych od siebie. Żyjąc np. na skalistych wyspach morskich, zabija duże ptaki rybożerne, a te są istnymi magazynami trucizn o znacznym stężeniu. Łowiąc z kolei ptaki na terenach rolniczych, naraża się na inne toksyczne związki, używane np. do spryskiwania ziarna celem uchronienia go przed zagrzybieniem. Zatem – chemia osaczyła sokoła wędrownego ze wszystkich możliwych stron.

Skutek? W RFN w 1950 r. gnieździło się około 400 par, w 1970 r. ok. pięćdziesięciu. Podobnie w innych krajach Europy. U nas jeszcze w latach pięćdziesiątych był to rozpowszechniony ptak – jedynie na Mazurach żyło ok. 100 par. Dziś o gniazdach nie ma żadnych pewnych wiadomości. Ornitolodzy przypuszczają, że jest ich w kraju najwyżej kilka, a może nie ma wcale. Mamy więc do czynienia z prawdziwą katastrofą gatunku.

Tymczasem pojawia się w wielu krajach nowe niebezpieczeństwo. Odżywa sokolnictwo – dawna zabawa możnych. Kiedyś była to wysoko ceniona forma łowiectwa, a ptaki łowcze, zwłaszcza sokoły wędrowne, białozory i rarogi – osiągały zawrotne ceny. Za Jana Olbrachta i Stefana Batorego Polska należała w sokolnictwie do prawdziwych potęg. Sokolnik uchodził za artystę, a każdy szlachcic posiadanie kilku dobrych sokołów uważał za punkt honoru. Sokolnictwo upadło wraz z rozwojem broni palnej, ale dziś odradza się – i to znów jako zabawa tych, którym w kieszeni brzęczy spory grosz...

W latach sześćdziesiątych w Szwecji schwytano na gorącym uczynku zabierania z gniazda piskląt sokoła wędrownego pewnego sokolnika, który specjalnie przyjechał aż z... Włoch. Pisklęta wsadzono do gniazda, ale sokolnika zapomniano wsadzić do więzienia. Następnego dnia przy tym samym gnieździe złapano go znów... Jak widać, niektórzy nie szczędzą uporu i środków na dalekie podróże, byle tylko mieć sokoła. Tymczasem – pisze Luisa Karllson ze Szwecji – *„każde opróżnienie jego gniazda przez złodziei staje się milowym krokiem do zagłady gatunku"*. Takie wyczyny zniechęcają na dodatek ptaka do dalszego gniażdżenia się w raz upatrzonym miejscu. Taczanowski twierdzi wprawdzie, że sokół *„na zabór gniazdoszął jest mało czuły i na drugą wiosnę powraca"*, ale zaraz dodaje: *„po zabraniu jaj nie tylko żałośnie przez kilka dni kwili, latając nad lasem, lecz i okolicę opuszcza, na kilka lat gnieździć się przestawszy..."* Tymczasem kolekcjonerzy jaj nie próżnują. W RFN jednego z nich za zrabowanie zniesienia sokoła skazano na 8 miesięcy więzienia i 2 tys. marek grzywny.

Trzeba tu zdać sobie sprawę, że opróżnianie gniazd tego ptaka, jak żadnego innego zagrożonego przez pestycydy, jest dziś skądinąd nieuchronne. Chodzi tu o sztuczny wychów piskląt – pisałem o tym na przykładzie bielika. Lecz tego rodzaju działalności mogą się podejmować tylko świetnie przygotowani fachowcy. Amatorskie podkładanie jaj drapieżników pod kwoczkę na nic się tu zdać nie może.

Niestety, pod płaszczykiem prac zmierzających jakoby do odnowy gatunku w drodze hodowlanej, czy też innych „badań przyrodniczych" rozwija się czasem sokolnictwo. Tak bywa i u nas. W niektórych szkołach leśnych układanie ptaków do łowów ma miejsce przy aprobacie pedagogów i poklasku prasy – no bo czyż to nie urocze, że młodzież opiekuje się ptakami i poznaje ich zwyczaje? Jakie mogą być skutki popularyzacji tej zabawy dla skrzydlatych drapieżników – nikt jakoś nie myśli. Tymczasem do naszego Klubu Ptakolubów wciąż napływają listy, z których wynika, że młodzi ludzie chętnie wyciągają z gniazd pisklęta ptaków drapieżnych, używając ich do zabawy.

Uczniowie wspomnianych szkół nie tresują wprawdzie sokołów – bo i skąd je wziąć? – ale pospolitsze jastrzębie. Mała to jednak pociecha. Bowiem dziś właściwie już wszystkie ptaki drapieżne znalazły się na progu zagłady. Większą ich część mógłbym tu śmiało zaliczyć do „ostatnich Mohikanów", pozostanę jednak tylko przy czterech dotąd opisanych, najbardziej zagrożonych gatunkach. A za tydzień przejdziemy już do innych grup ptasich – bowiem i wśród nich nie brak takich, których los postawił pod znakiem zapytania pan i władca tego świata...

TOMASZ KŁOSOWSKI

*) Nazwa „wędrowny" jest trudna do wytłumaczenia i prawdopodobnie wynika z utrwalonego nieporozumienia. W rzeczywistości jest to ptak osiadły albo tylko koczujący.

Czy wodorosty wyżywią ludzkość?

USA (PAP). Naukowcy z kalifornijskiego ośrodka naukowego, zajmujący się biologią mórz, zasadzili na doświadczalnej farmie oceanicznej wielkich rozmiarów wodorosty, aby przekonać się, czy w przyszłości mogą one stać się ekonomicznym źródłem pożywienia. Jeśli próby dadzą pomyślne rezultaty, jest możliwe, że zapoczątkuje to wykorzystanie dna oceanicznego na szeroką skalę do uprawy wodorostów. Zdaniem naukowców, powodzenie na tym polu dałoby czas na złapanie oddechu, zanim definitywnie staniemy przed problemem, że Ziemia jest za mała, aby wyżywić ludzkość. (kz)

„Sztuczna Antarktyda" w kaliningradzkim ZOO

ZSRR (PAP). Kaliningradzkie ZOO, odwiedzane corocznie przez ponad 600 tysięcy zwiedzających, wzbogaciło się o nowy teren, na którym zamieszkały pingwiny. Jest to pierwszy w Związku Radzieckim „pingwinnik", w którym zamieszkują te pływające ptaki z dalekiego lodowego kontynentu.

Dla pingwinów przygotowano w kaliningradzkim ogrodzie zoologicznym teren, który nazwać można „sztuczną Antarktydą". Znajdują się tu między innymi letnie i zimowe baseny, specjalne inhalatory nasycające powietrze „morską" wilgocią i urządzenia chłodzące, dzięki którym nawet w upalne dni woda w basenach nie nagrzewa się powyżej optymalnej dla życia pingwinów temperatury. (tok)

Podmorskie wulkany „produkują" cenne kopaliny

ZSRR (PAP). Przez wiele lat uczonych intrygowało skąd pochodzą odnajdowane na dnie oceanów złoża rud metali i co spowodowało, że skupione są one w niektórych tylko miejscach. Badania, jakich naukowcy dokonali w czasie rejsów na specjalnym statku badawczym „Wulkanolog" wykazały, że występowanie na dnie morza skupisk rudy żelaza, manganu czy fosforytów jest ściśle związane z działalnością podwodnych wulkanów. Miejsca, gdzie niegdyś z podwodnych kraterów wydobywała się lawa są dziś bogatymi magazynami cennych kopalin. Wyniki badań mają swe praktyczne znaczenie; na podstawie mapy wygasłych wulkanów można planować ewentualne wykorzystanie i eksploatację podwodnych złóż. (ml)

Zastanawia mnie niby drobna rzecz, ale chciałbym wiedzieć, jak to jest. No więc wychodzimy na spacer – ja i mój brat. Czy mama powinna powiedzieć: „Wojtek z Maćkiem poszli na spacer" czy też: „Wojtek z Maćkiem poszedł na spacer"? Jeśli rodzice idą do teatru, to: „mama z tatą idzie" czy „mama z tatą idą"?

Wojtek z Krakowa

Do teatru może jeszcze iść **tata z mamą**, jeśli to tata jest inicjatorem tego wyjścia i np. załatwił bilety. Widzisz, z tym podmiotem składającym się z dwóch rzeczowników połączonych przyimkiem **z** to jest tak. Jeśli oba człony tego podmiotu są równorzędne pod względem znaczeniowym, to stosowne będzie orzeczenie w liczbie mnogiej, np. **mama z tatą poszli na spacer**. Jeśli natomiast jeden z członów ma znaczenie wyraźnie dominujące, podkreślamy ten fakt poprzez użycie orzeczenia w liczbie pojedynczej, np. **ojciec z dziećmi wsiadł do wagonu**. (Dzieci są małe, pod opieką ojca.) Wróćmy do Ciebie i Twojego brata. Jeśli różnica wieku między Wami jest na tyle mała, że nie przeszkadza w partnerstwie na spacerze, to dyplomatyczniej będzie powiedzieć, że **poszliście** na spacer *(Wojtek z Maćkiem poszli)*. Jeśli Maciek jest pędrakiem, którego jeszcze trzeba pilnować i prowadzić za rękę, to mama śmiało może powiedzieć, że to **Ty poszedłeś** z nim na spacer *(Wojtek z Maćkiem poszedł)*.

Rozumiesz, w czym rzecz – przy pomocy tego środka językowego informujemy niejako, kto gra rolę wiodącą, a kto jest jakby dodatkiem. Trzeba uważać, żeby nie popełnić nietaktu. Albo... żeby nie rozbawić towarzystwa. Wyobraź sobie, że ktoś Ci mówi: „Pan Kowalski z psem **wyszli** na spacer". Jeszcze jeden krok, a okaże się, że to pies wyszedł z panem Kowalskim. (Co się zdarza.)

Droga Kropeczko, często słyszę: „zapoznałem dziewczynę". Czy nie uważasz, że powinno się mówić: zapoznałem się z dziewczyną? Jak się powinno pisać na szyldzie rożen czy rożno? (mnie się wydaje, że to drugie). Skąd się wzięło moje imię? Pozdrowienia dla całej redakcji znakomitego „ŚM".

Elżbieta Stolarz

Dziękujemy. 1) Masz rację. Jeszcze lepiej: **poznałem dziewczynę**. 2) Mylisz się, powinno być: **rożen** (nadziewać na rożen kawałki mięsa). 3) Z hebrajskiego *eliszeba (Bóg moją przysięgą)*. My też Cię pozdrawiamy.

Wasza KROPKA

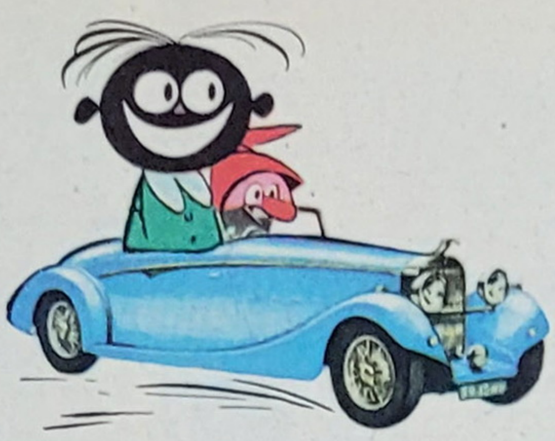

Cześć!

Jak widzicie na obrazku, naszą redakcję zaopatrzono na sezon wiosenno-letni w pastelowe kabriolety. Cóż to za rozkosz tak pędzić, wdychając świeże powietrze, zamiast gnieść się pod blaszanym dachem jak sardynki w puszce...

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

WIADOMOŚCI

Cześć!

Oto garść ilustrowanych nowinek wiosennych. Nie podawano ich ani w telewizji, ani w prasie. Są to informacje od naszego specjalnego wysłannika, wyssane z wiarygodnych źródeł:

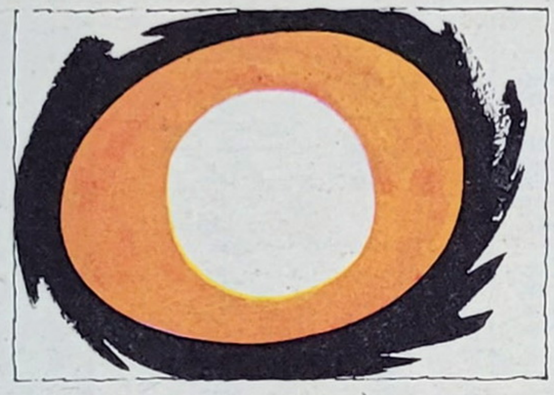

Na tym obrazku widzicie zupełną nowość! Nazywa się to „OJAJ" i jest jak nazwa wskazuje odwrotnością jajka. Ojaj ma same zalety, a uzyskano go przez skrzyżowanie koguta z żyjątkiem o dźwięcznej nazwie „ARUK".

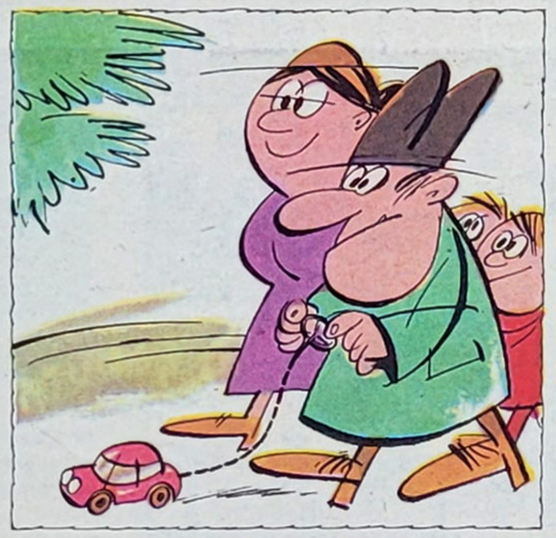

MINI!!! Oto propozycja na sezon '80! Mało pali, nie smrodzi. Idealny wóz dla rodziny 2+2. Można nim jeździć po alejkach parku, nie płacąc żadnych mandatów.

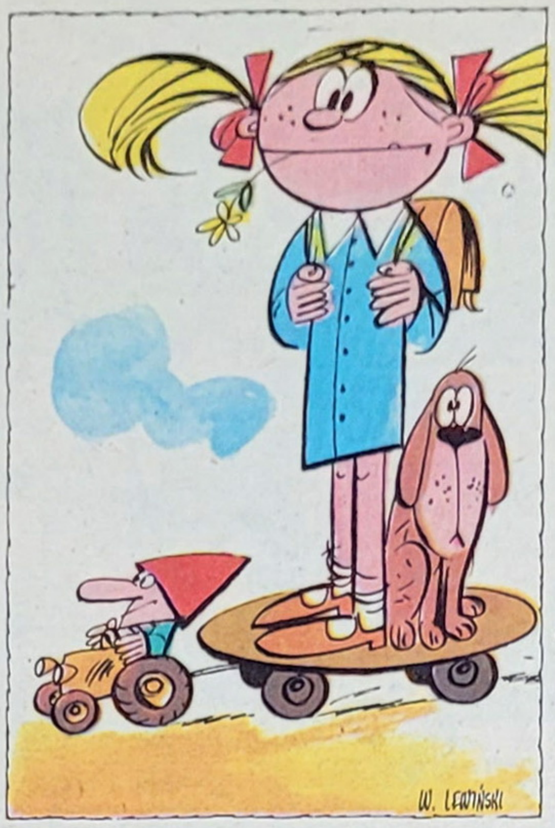

Sekcja Transportu naszej Spółdzielni „Pracuś" uruchomiła sezonowo dowóz dzieci do szkół. A'propos: Uwaga! na drogach całego kraju pojawiły się rozmaite zakochane stworzonka. Łatwo je rozpoznać po szacie godowej (patrz poniżej).

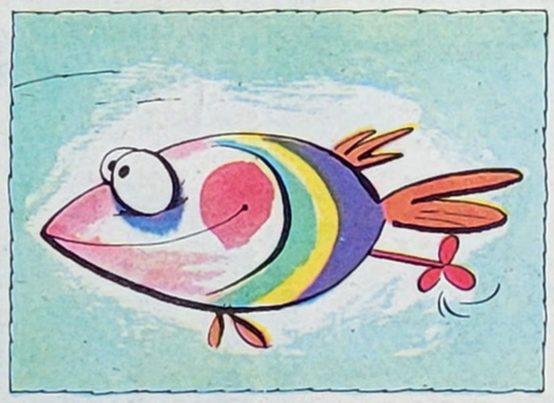

Znany badacz głębin morskich prof. Kolebka Piotr odkrył ostatnio, że głębinowe ryby elektryczne, płynąc z prądem rozwoju mechanizacji zmieniły napęd, wykorzystując wytwarzany przez siebie prąd elektryczny. (R)

RZEPKLUB

Wpisuję na listę klubu Iwonę Kubzdela. Oto nadesłany przez nią żart w dwóch obrazkach:

Natalia odchodzi gdzieś do nie znanych Róży zakamarków, robi się nieznośnie cicho, tak cicho, że słychać wyraźnie delikatne podzwanianie łyżeczki o filiżankę, pewnie stary pan podaje chorej ostudzoną herbatę albo karmi ją jak dziecko kaszką, ten dźwięk ledwie dosłyszalny wydaje się bardzo głośny w wielkiej ciszy.

Właściwie czemu Róża zamknęła okno? Zrobiła to zaraz po wychlustaniu brudnych mydlin, chyba tylko dlatego, żeby słyszeć to, co będzie się działo na dole, jakby było ciekawe i ważne, gdzie Natalia będzie poszukiwała klucza. Już lepiej, żeby za oknem szumiały liście, żeby gdzieś z daleka zahuczała poczciwie ciężarówka, zaszczekał pies, zapiał kogut, wrzasnęła oburzona kura. Kiedy tak siedzi i czeka, to zaczyna się jej wydawać, że wszyscy odeszli ze starego domu i zostawili ją zupełnie samą, i że to wcale nie był żaden przypadek z tym kluczem, tylko specjalnie niby nie mogą go znaleźć, bo...

Masz pomysły! Wiesz świetnie, że starsze osoby bardzo często coś gubią. Pani Malinowska, jak wyjechała na wczasy, to zgubiła w pensjonacie szlafrok, a każdy przyzna, że szlafrok jest tysiąc razy trudniej zgubić niż klucze. A ciocia Helena zgubiła pierścionek, pamiątkę po babci, chociaż bardzo na ten pierścionek uważała. I jeszcze ten pan monter, który bez torby z narzędziami przyszedł do zepsutego telewizora i który oświadczył, że niedługo prawdopodobnie zapomni własnej głowy.

Te przykłady trochę uspokajają Różę, ale nie za bardzo, czekanie dłuży się nieznośnie. Natalia chyba wyszła dziurą w płocie, żeby na wygonie poszukać zguby, umilkło nawet owo cichutkie podzwanianie łyżeczki. Nie, nie będzie kopała w drzwi, ale ostatecznie nic się chyba nie stanie, jeżeli zapuka?

Nie puka. Jakoś ją uwolnią, jeżeli nawet Natalia zgubiła klucz, istnieją przecież ślusarze, dla których otworzenie zamka to zupełnie głupstwo. Momencik i już. Pewnie Natalia już poszła do warsztatu.

Która może być godzina?

Czy Marek już czeka na mostku? A jeżeli nie zechce dłużej czekać, to co będzie? Róża nawet nie wie, gdzie on mieszka. Czy można liczyć na to, że Marek ją odnajdzie? E, chyba nie będzie nawet próbował, trochę się wczoraj kłócili, po prostu uzna, że Róża jak wszystkie inne dziewczyny jest niesłowna i przestanie sobie zawracać głowę. Zresztą Marek ma tutaj kolegów i koleżanki, a ona, Róża nie ma nikogo i dlatego pewnie Marek jest taki ważny, i to, żeby czekał, jest też takie ważne, i to, żeby Róża przyszła o umówionej godzinie na mostek też jest bardzo ważne, może najważniejsze.

Gdyby miała zegarek, wiedziałaby, która jest teraz godzina, sama odmówiła zabrania zegarka, prezentu, urodzinowego od wujka. Nie weźmie i już. Dlaczego? Nikt w klasie nie nosi zegarka, oprócz Roberta, ale o Robercie wszyscy mówią „stary-malutki" i ona nie miała zamiaru go naśladować. I zegarek został w maminym pudle do szycia, a teraz bardzo by się przydał.

– Nie ma co zastanawiać się nad wzgardzonym zegarkiem, są sprawy stokroć poważniejsze. Dlaczego jest tak cicho? Gdyby Natalia naprawdę wyszła, Róża musiałaby usłyszeć szczęk zasuwy i brzęczenie łańcucha.

Wreszcie gdy jest zupełnie zdecydowana na zerwanie się z miejsca i załomotanie pięścią z całej siły w obojętne deski – słychać człapanie Natalii. Jeden schodek, drugi schodek, trzeci, już jest pod drzwiami, już chrobocze kluczem.

– Niech mi Różyczka wybaczy. Jak to mówią: starość nie radość, śmierć nie wesele. Ot, połowę ja mam na widoku, a za okamgnienie nie ma, jakby diabeł ogonem nakrył.

Mówiąc to Natalia umyka spojrzeniem, na jej blade policzki wypełza skąpy rumieniec, wygląda to tak, jakby się wstydziła swojej niepamięci.

– Która godzina?

Akurat dobrze, że na zegar spojrzałam. Dziesiątka prawie będzie.

Jest jeszcze pół godziny czasu, ale Róża nie wykręci się od śniadania.

– Tego nie będzie, póki ja żyję, żeby Różyczka głodna chodziła. Co by pani powiedziała?

– Jak się pani czuje?

Znów koso umknęło spojrzenie Natalii.

– Ociupinkę lepiej. Kaszki pojadła, tylko, wie Różyczka, pani ma serce bardzo chore i nie od wczoraj to trwa, ale od lat. Każdą chwilą można się nieszczęścia spodziewać, doktor już dawno o tym powiedział. A pani to się rano nawet o Różyczkę pytała, czy zadowolona z wakacji.

Gdyby było trochę więcej czasu, Róża poprosiłaby o pozwolenie na odwiedzenie chorej, ale każda chwila już się liczy. Jak wróci na obiad, zapyta, teraz chodzi przede wszystkim o to, żeby jak najprędzej przełknąć te dwie bułeczki i wypić duszkiem kawę.

Kawa jest gorąca, nawet bardzo gorąca, parzy wargi, ale trzeba ją wypić do końca, bo Natalia stoi założywszy ręce pod fartuchem i pilnuje, żeby Róża porządnie zjadła śniadanie, jedna bułka z powidłami własnego smażenia, a druga z twarogiem.

Cdn.

W TYM MIEJSCU ZACZYNA SIĘ:
ANTRESOLKA PROFESORKA NERWOSOLKA
(oraz jego gospodyni, Entomologii Motylkowskiej)

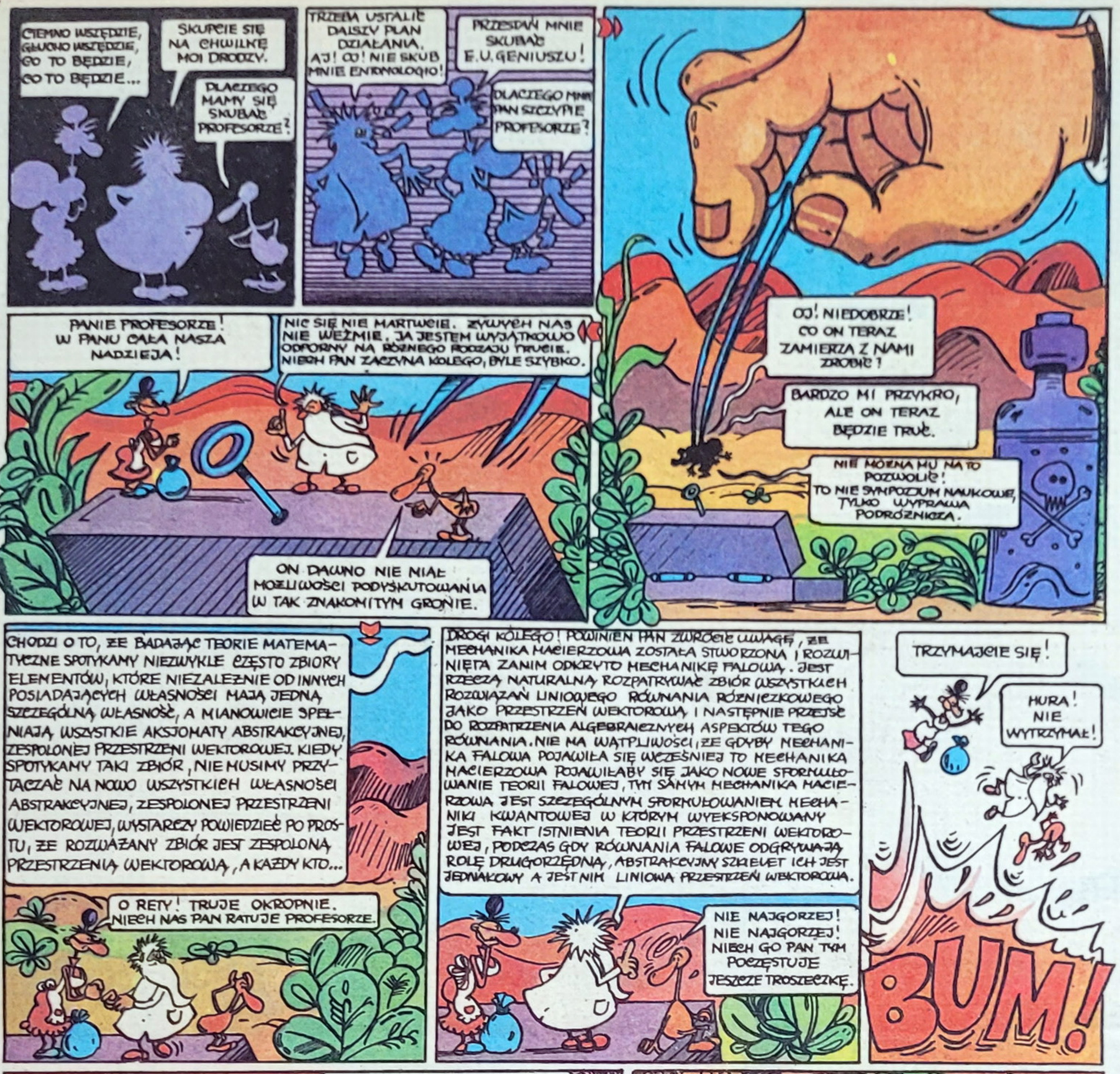

ODC. 7

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031506

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowlacka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-61-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Kotzyrkowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch", w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne, oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Grażyna Kiechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Wąs

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

Nr zam. 2237/G

O-65

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

● Oczyszczalnie ścieków?! – Czy to temat dla „Świata Młodych"? Odpowiedź znajdziecie po przeczytaniu artykułu pt. „Warta-najlepsza!"

● „Dziewczyna przy straganie" – czyli jak dynamicznie umie żyć grupa młodzieży z Kolna i jej pełna temperamentu szefowa.

● Olimpiada moskiewska tuż „za pasem". W związku z tym rozpoczynamy druk olimpijskiej minimonografii. Każdy znajdzie w niej na pewno coś dla siebie!

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

27

Kiedy Natalia odchodzi, Róża rzeczywiście wstaje bez pośpiechu. Myje się dokładnie, aż miednica napełnia się po wręby białą pianą mydlin, szoruje zęby, by potem odświeżona sięgnąć, nie wiadomo czemu, po sukienkę. Po tę sukienkę, której nie znosi, chociażby za naszytą na dole marszczoną falbankę i za kokardkę wiązaną pod kołnierzykiem, nie wspominając już o tym, że sukienka jest usiana mnóstwem drobnych kwiatków, jakieś stokrotki, jakieś różyczki i Bóg wie, co jeszcze!

Jakby mało było nałożenia sukienki, Róża wyciąga z torby białe podkolanówki i sandały.

Nie może się obejrzeć w owalnym lustrze cała, ale to, co wygląda ku niej ze srebrnej gładzi, jest zaskakujące. Jakoś mniej widać piegi, oczy wydają się dużo większe i, co najdziwniejsze, pod pociągnięciem szczotki włosy dużo posłuszniej układają się nad opalonym czołem. Swoją drogą, kiedy Róża zdążyła się tak opalić? Na pływalni? Podczas wczorajszego spaceru z Markiem?

Może te różyczki i stokrotki, i ten kołnierzyk z kokardką nie są wcale takie ohydne, jak sądziła? I w ogóle jeżeli ciągnęła tę kieckę przez pół Polski, wolno ją chyba włożyć, no nie? Nie ma ochoty na przebieranie, zresztą mama prosiła, żeby nie drażnić tych państwa dżinsami i tupotem drewniaków...

Łóżko zaścielała także bez pośpiechu, strzepując poduszkę wciąga rogi kołdry w kopertę, wyrównuje najmniejsze fałdki białej narzuty. Później jeszcze składa rozrzucone rzeczy, zaciąga ekler torby, ustawia chodaki, aby noskami równiutko przylegały do siebie.

Rozłożywszy fałdy kwiecistego materiału, Róża zasiada na krześle i wpatruje się w milczące drzwi. Tam, na dole, coś się dzieje, chodzą, rozmawiają szeptem, chwilami starszy pan podnosi głos, dolatują pojedyncze, niezrozumiałe słowa: „Absurd" i „Nigdy się nie zgodzę", Natalia go chyba o czymś przekonuje, ale on nic sobie nie daje wytłumaczyć. „Kiedy mówię, nie, to nie" – dobiega do Róży.

Później słychać tylko mamrot Natalii, skrzypią deski podłogi, uchylają się jakieś drzwi, coś spada, dźwięcznie pękając szklanymi okruchami.

Trwa to długo, tak długo, że Róża ma ochotę zacząć kopać w zamknięte drzwi; kiedy narobi porządnego hałasu, Natalia musi się pospieszyć ze swoimi poszukiwaniami. Tylko myśl o chorej powstrzymuje Różę od wprowadzenia w czyn swojego zamiaru. Ostatecznie poczeka jeszcze trochę, klucz się znajdzie, widziała go, nie szpilka, tylko taki ogromny, starożytny klucz, chyba nawet z jakąś rzeźbą na uszku, wąż okręcony wokół gałęzi albo coś w tym rodzaju.

– Święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski, niech nie zginie sława twoja, niech się znajdzie zguba moja – mamrocze tam na dole, Natalia, już nie przycisza głosu, wzywa świętego Antoniego całkiem wyraźnie. Róża zna od mamy to wezwanie do patrona zgubionych rzeczy. Nie raz i nie dwa Róża i Andrzej podśmiewali się z angażowania świętego do pomocy w odnalezieniu zarzuconych nożyczek czy wsadzonego nie wiadomo gdzie BARDZO WAŻNEGO zaświadczenia. – Święty Antoni, toż dziecko tam zamknięte, nie dla siebie proszę, dla niej ten klucz trzeba znaleźć.

Dokończenie na str. 7